



WOLNY ZWIĄZKOWIEC

NR 28

16 LIPCA 1981

Cena symboliczna 1 zł

Interwencja zbrojna ZSRR jest mało prawdopodobna, ale jednak możliwa — jeżeli tylko Kreml da się głębiej wpuścić w te maliny przez siły, których reprezentantem jest Katowickie Forum Partijne.

Co się wtedy stanie? Jeżeli damy się sprowokować do zbrojnego oporu, to nie specjalnie nowego: rozpaczliwa walka, zwłaszcza młodzieży, masowe rozstrzelania, masowe wywózki do łagrow. Obecne nasze niezadowolenie z „osiągnięć” czerwonej burżuazji przemieni się w powszechną żywiołową nienawiść do całej PZPR — a to byłoby końcem nie tylko naszych marzeń o socjalizmie. . . . Nawet najgłupszy z mieszkańców australijskiego buszu rozwali bumerangiem łeb agitatorowi przybytemu doń ze słowami: towarzyszu, my na was liczymy w budowie lepszego jutra. . .

Uważam więc, że jak najszybciej powinniśmy już teraz wszelkimi sposobami przeciwdziałać takiemu przebiegowi wydarzeń. Mam nadzieję, że opisy eksplozji społecznej na Węgrzech w 1956 roku i jej tragicznych następstw, które właśnie zaczyna publikować „Wolny Związkowiec”, ułatwią Czytelnikom podjęcie właściwej decyzji. Będzie to tym łatwiejsze, że publikowane materiały opisują wydarzenia budapestzańskie z kilku punktów widzenia: powstańców, szefa milicji oraz polskiego dziennikarza.

A co będzie, jak nie dopuścimy do zaistnienia pomiędzy Polakami a Rosjanami nieprzejdanych stosunków typu „najeżdźca—zwycięzony”, nieuniknionych w przypadku naszego zbrojnego oporu? Zastanówmy się więc chwilę: żołnierz radziecki, młody chłopak, który załomota kolbą w nasze drzwi, spodziewa się za tymi drzwiami „kontrowolucjonistów”, „najemnika imperialistów”, „kuroniowców” lub „band Wałęsy”. Wolałby od nich może nawet Yettego, tak go zastawili do „Solidarności”. . . . Niech więc nie spotka się z wrogością, chociaż będą wtedy do niej uzasadnione powody. Niech zrozumie, że jest pariasem Europy, niech odczuje, że na co dzień żyje mu się jeszcze podłej niż nam. Przecież on obawia się wszystkiego, „nieprawomyślnego” jeszcze bardziej niż my w latach wszechwładzy stalinowskiej bezpieki — prawdopodobnie miał, ma, lub będzie miał w rodzinie kogoś rozstrzelanego lub uwięzionego w łagrze. Widzi jak żyją aparatczyki, natomiast dla niego kupno dzinsów to prawie to samo co kupno Wołgi. Ostatnio przeżył coś niesłychanego: KPZR, po tylu latach kolektywizacji!!! pozwoiliła na posiadanie „osobistego hektara”! Może właśnie dzięki temu, oraz obecnemu pobytowi „za granicą” zaczyna powoli wyczuwać, co jest właściwie grane. . . . Ale nie może, nie potrafi się jeszcze sam poderwać, widzimy to często w stadzie wron: wszystkie już oczkami błyskają na bok, ale kraczą nadal na jedną nutę. Przypomnijmy sobie epizod z „Archipelagu GULag” Sołżenicyna: zebrani klaskali na cześć Stalina „żywiołowo i owacyjnie” przez kilkanaście minut, mdleli, padali ale nie przestawali — bo nikt nie mógł, nie potrafił przestać klaskać pierwszy. . .

BUDAPEST A.D. 1956
(ocami powstańca)

23 października. Przedtem też można było maszerować środkami jezdni ze sztandarami, ale tylko w święta państwowe i pod warunkiem, że wznosiło się przed trybuną okrzyki na cześć kierownictwa partii. To wręcz cud natury, jak mieszkańcy miasta w ciągu godziny przemieniają się w lud. Koniec z odrętwieniem, mamy siłę, oni się nas boją, a nie my ich, tak jest, mamy prawo do ulicy. To święto ludowe niesforbnych: co wczoraj było zakazane, teraz nagle jest dozwolone — dlatego, że to robimy i dlatego, że nie prosimy o pozwolenie. Precz z kaftanem bezpieczeństwa, chcemy wreszcie powiedzieć prawdę! Do tej pory okłamywaliśmy się nawzajem, używając języka władzy, teraz rozmawiamy tak, jakbyśmy uprawiali mitos i nie przedstawiamy każdego zdania do zatwierdzenia siedzącemu w nas cenzorowi. Utopia chodząca na dwóch nogach, możesz napisać na kartce co chcesz i przypiąć ją do najbliższego pnia. Zawaliła się tamta retoryka, język się zbuntował, każdy jest dziennikarzem, całe miasto przemieniało się w gazetkę ścienną. Nie pomoże trzaskanie białem, który już nie pociągnie wozu. Ulice są pełne ludzi, którzy rano chodzili do pracy zgębnieni i tak samo zgębnieni wracali wieczorem do domu. Ci sami ludzie zwarieli teraz w szeregi, wykorzystują różny hasła i jedni drugich zarzają pewnością siebie. Rewolucja to ciekawa sprawa, mamy czas, kolację zjemy później, zjemy my jeszcze każdy z osobną powroć do domu ze swoimi depresjami.

Całe miasto wyszło na ulice, a co Biuro Polityczne daje ludowi? Obecnie zwołac Komitet Centralny. To najliczniejsza grupa, która jeszcze jest władna o czymś decydować. Ale żeby nie tylko ta setka ludzi, lecz i pozostałe dziesięć milionów było władne — to równie zwiadowany pomysł, jak pytać cyrkowego lwa, czy ma ochotę skakać przez ognistą obręcz. Milijantów uwodzi seksualny czar tłumy, ani im w głowie strzelać do niego, wtapiają się w ciżbę. Przeciw ustrojowi obracają się jego własne słowa: w latach ucisku w urzędach obowiązywało podzwolenie „wolności”. Teraz temu słowu nadajemy trochę sensu.

Mamy za sobą dziwne lato, sztab centrali stwierdził, że szef filii za dużo mordował, za dużo trwonili i choć jest niewątpliwie zaufanym człowiekiem, należy go zmienić. Trudno znaleźć pewnego, a jednak popularnego następcę. Jeśli jest pewny, lecz ogólnie zienawidzony, to zdoła utrzymać porządek tylko nadużywając przemocy i płać ogromną cenę. Jeśli natomiast cieszy się popularnością, to wbrew interesom centrali będzie się starał przypodobać swoim i znową się zarżnąć on, jak i cała filia. Mikołojan przyjechał z Moskwy do Budapesztu, samochód z zaciągniętymi firankami popędził wśród szpalier milicji do centrali partii. R. zostanie zdjęty z urzędu. Ma napisać oświadczenie, że cierpi na nadciśnienie, w kraju macierzystym dostanie emeryturę. Na radzieckim lotnisku wojskowym, mały, tłusty R. rzuca się na ziemię, rękami czepla się trawę, tu jest jego kraj, nie wyjedzie stąd. Dwaj oficerowie NKWD chwytają go pod pachy, podnoszą i wypychają zalanego łzami, starego mordercę do samolotu. Po latach zezwola mu na powrót, ale już w trumnie. Tak jak czasem w małżeństwie wszystko się naraz spiętrza i powstaje okazja do rozrachunku, tak i dla ludu wybija jego godzina. Teraz nie potrzeba mu żadnych przedstawicieli: zawsze inni za niego mówili, teraz on sam chce przemówić. To nie jest godzina rozsądku. Zdrowy rozsądek powiada: nie możemy rozkazywać sami sobie, tylko oni mogą nam rozkazywać. Stosunki tak wyglądają, że oni kłamią, a my ich okłaskujemy.

Dzięki „NOWEJ”, publikującej dzieła Sołżenicyna, Amalryka i innych stamtąd, ludzie radzieccy stali nam się obecnie bliżsi od „wywołicieli” z 1945 r. Coraz powszechniej wiemy jak cierpią, jak żyją i czego od życia oczekują narody radzieckie. Zaczynamy rozumieć, że pod osłoną szczytnej idei zaczęła się na nas wszystkich czerwona nomenklatura, robiąca z ludzi roboty i tuczaca się na ersatz-socjalizmie. Historia kołem się toczy, i to szybko, dlatego od 1945 roku nasze narody, nie mogą się kontaktować w sposób niekontrolowany. Może więc dopiero dzięki „zaproszeniu” od np. Katowickiego Forum Partijnego, lub innego ugрупowania dobrze życzącego naszym narodom, dojdzie do dłuższego spotkania w życiu codziennym — bo tego żaden okupant nie potrafi uniknąć nigdzie na świecie. Czas będzie wtedy pracować na naszą wspólną korzyść — dlatego rzućmy butelkę z benzyną zostawmy tym prowokatorom, którzy ostatnio profanują pomniki.

Zdobądźmy się więc wtedy nawet na gościnność względem krasnoarmiejców, wykorzystujemy każdy kontakt, na cierpliwie pokazywanie jaką to my jesteśmy „kontrą”, jak „imperialistycznie” żyjemy i myślimy. Nie zrażamy się tym, że nasz rozmówca jest nafaszerowany „Prawdą” — nie będąc nawet „Trybuna Robotniczą”. Mijemy świadomość, że nie ma niczego od tych kontaktów ważniejszego dla naszej racji stanu! Nie rozpaczajmy wtedy nad tym, że naszych bliskich uwieźli, a może nawet rozstrzelali. Nie pomożemy im, ani ich nie pomścimy nienawiścią, trzeba wtedy będzie zacisnąć zęby, pomagać rodzinom aresztowanych i zamordowanych — pażać w przyszłość i jednocześnie skrzętnie notując wszelkie przejawy bezprawia i zdrady ze strony rodaków. Celem nadrzędnym jest Polska wolna i niepodległa. Tak jak każdy członek „Solidarności” powinien być od Sierpnia przygotowany na różnego rodzaju szykany władz, tak każdy Polak powinien być gotów na wszystko dla Ojczyzny.

A jedyną drogą odzyskania wolności i niepodległości jest przekonanie tych co najmniej 500 tysięcy żołnierzy radzieckich, że hasło „Za Wolność Waszą i Naszą” jest nadal aktualne, że dalsze życie we władzy czer-

wonej burżuazji jest niegodne człowieka myślącego. Mijemy nadzieję, że iskra padnie na podatny grunt.

Jacek Cieśliski

P.S. W tym dość długim uzasadnieniu publikowania „Budapesztu AD 1956” w dwóch, a może nawet w trzech numerach „Wolnego Związkowca” przedstawiłem wyjątkowo swój osobisty pogląd na to, jaką postawę powinniśmy przyjąć w razie interwencji. Jeżeli ktoś ma inny, zwłaszcza wręcz przeciwny, to niech jak najszybciej zwiędze go przedstawi Czytelnikom, redakcja „WZ” rezerwuje miejsce na ten cel, w myśl zasady: obejrzymy ten medal z obydwu stron. . .



Sekretarz partii w Budapeszcie nazywa rządami ludu tę despotyczną władzę, którą sprawuje z ramienia pierwszego sekretarza w Moskwie. Jeśli jednak okłamywani zdobędą się na odwagę i jeden jedyny raz powiedzą, że to wszystko nieprawda, kłamać zacznie się trząść ze strachu i zachce strzelać. Lud, który odrzuca władzę kłamców, jest wrogiem władzy ludowej. Teraz jednak wypowiada to zebrawszy się dość liczny tłum. Hołota! Proszę się rozejść do domów! Nie odchodzą. Strzały ostrzegawcze. Odpowiadają strzałami. Te bestii nie mają się kule. Zmora. W ciągu jednej czy dwóch godzin w nicłość obraca się to, co przez lata było zwykłym porządkiem rzeczy. Kłamy zaczynają się jąkać. Zbudzeni ze snu o władzy mężowie stanu nie są już nawet mężczyźnami.

Po demonstracji siedzę z przyjaciółmi w mieszkaniu N., większość usiłuje namówić sterczą, żeby nie kazał ludowi czekać. Dwustopniowy tłum wykorzystuje nazwisko N. przed parlamentem, jego właśnie, emerytowanego komunistę-demokratę kraj chce na premiera. Przed południem byłem z delegacją w domu partii, widziałem przywódców kraju, bladych jak trupy. Dwa lata temu wypuścili mnie z więzienia, pół roku temu chcieli znowu zamknąć. Teraz papieros drży im w dłoniach, nerwowo telefonują nawzajem do siebie i do Moskwy. Nas proszą, byśmy stanęli na czele tego, co się dzieje i uspokoił tłum. „Ratujcie kraj!” Pytam: „Kiedy odlatuje wasz samolot do Moskwy?” Patrzą przerażeni, proszę o coś do picia, skwapliwie nalewają, wino rozlewa się na puste biurko. Potem demonstracja, patriotyczne przemówienia z przypadkowych trybun, na początku rewolucja nurza się we frazesach, wkrótce spłynie krew. Przewiduję już, że skończy się to więzieniem, może szubienicą. Niedawno się ożeniłem, czuję swądzenie na szyi, u starego nie otwieram ust, piję wódkę.

Od wielu miesięcy wszyscy domagali się czystki i pociągnięcia do odpowiedzialności, bankructwo było oczywiste. Teraz lud mówi o tym i nie uspokoi się, póki nie obali samowładztwa fuzerów. Do tej pory siedział cicho, ale jak się raz ruszy, nie da się spławić byle pochlebstwem. Nie nałoży z powrotem papuci, póki nie poczucie się bezpieczny albo nie dostanie po głowie. To mieszkankie też jest kłamiem sceny, na której każdy robi, co może, ale nie to, co by chciał. Moi przyjaciele chcieliby oświeconej dyktatury komunistycznej, która dużo mówi o demokracji. Ja już nie jestem komunistą, chociaż jeszcze tego głośno nie wypowiedziałem. Przez dwa lata, kiedy z wyrokiem śmierci oczekiwałem codziennie na pluton egzekucyjny, miałem czas na zrozumienie swojej sytuacji: jestem tu nie dlatego, że dyktatura się myli, ale dlatego, że chce się utrzymać i przynajmniej na początku nie można istnieć bez więźniów politycznych. Usuwa każdego, kto mógłby się jej przeciwstawić. Lud trzeba najpierw zgębnąć kontrabuciami i łąmac, żeby mu nie przyszło do głowy władzy przegłosować. Kiedy wszyscy staną się posłusznymi, państwo także będzie pozbawione. Będzie wtedy bez przesydy, fachowo odmierzać milicyjną przemoc, będzie mogło za pomocą niezbyt wielkiego terroru zapewnić sobie całkowite bezpieczeństwo. Ale wówczas, w roku 1950, nie wystarczył mały terror ani cyniczna sztuka sprawowania władzy. Ustrój był obrotowy i żeby lud go nie sprzątnął, zdecydowanie odbierał mu na to ochotę.

A jednak, młody żonkoś, w roku 1956 nie tęskniłem za tym, by za szlachetny gest znowu trafić do celi śmierci. Wolałbym czytać o wydarzeniach historycznych, niż je tworzyć. Jeśli teraz wyruszymy, by zrobić rewolucję, to najpóźniej na Gwiazd- (c.d. na str. 2)

kę znajdziemy się znowu w obrzydłych celach milicyjnych. Znowu kilka lat więziennej ciszy, a niektórzy na zubożeniu. Przysięgam, że perspektywa znalezienia się w podreęcznikach historii wcale nie jest pocieszająca, ja już odpokutowałem za to, żeśmy wprowadzili ten ustrój, który teraz chcielibyśmy zlikwidować. W razie przewrotu tylko rozlew krwi może uratować strukturę władzy zniechęconej przez ludność. Niecierpliwie przysięgam, że nad niepokojącymi argumentami rozsądku. W tej chwili zapominamy, że jesteśmy małym narodem, który nie żyje własną historią, tylko usiłuje wyżyć w cudzej. Zwrot w stronę liberalizmu nie miał czasu dojrzeć, ustroju nie było stać nawet na kilka reform. Ludność weźmie po trosze odwet za terror państwowy, i to z niejaką wschodnią dzikością: niegorzej ją rozgniewano. W oczach obcych rewolucja to dramat historyczny, dla nas to wydarzenie rodzinne; dla widza krew to sok pomidorowy, dla nas to nasza własna krew. Na krótko aspekt ekonomiczny stracił zostanie przysięgnięty rytualnym patosem krwawej ofiary, cały naród może ulec atakowi epilepsji. Teraz nikt nie będzie postępować roztropnie — ani lud, ani rząd, ani Rosjanie. Wszystkie strony sporu doprowadzają się wzajemnie do wściekłości, podczas wybuchu trudno z rozumą wprowadzać zmiany do kontraktu społecznego. Ludzie nie po to palą na ulicach godła państwowe, żeby się zaraz potem spokojnie rozejść. Festyny ludowe rządzą się własną logiką, uspokajamy się dopiero wtedy, kiedyśmy się porządnie zmęczeni. Przed domem stoją szeregi samochodów zwiastunów najnowszych wiadomości, w podnieconym mieszkaniu profesorskim wymaga się entuzjazmu, stary spogląda przed siebie. Czuję się nieswojo, ponieważ tylko tłum wykrzykuje jego nazwisko, a do centrali partyjnej nikt go nie zaprasza. Od lat wierzę w odrodzenie komunizmu: odrzućmy tyrańskie i dyktanckie nadużycia władzy z komunistycznej epoki żelaza, ale niech w dalszym ciągu prowadzi partia, z dobrą wolą i naukowo. Niech przywódcy przysięgną lud do piersi, a lud niech zawierzy swym przywódcom. Opozycja partyjna, zwolniona z więzień i kwarantanny, niech zajmie miejsce stalinowców i niech zawrót zdegenerowanej ideologii jej czystych źródeł. Jest niemal dwa razy starszy ode mnie, ale wciąż jeszcze ufa, że z przymusowego małżeństwa ludu i ustroju może się wyłonić miłość. Niech się partia przekona, że on ma rację, a zdyscyplinowany tłum niech stanie przy nim. Jak tu starym odepierać się od tej czarodziejskiej bajki? Od czterdziestu lat działa w ruchu robotniczym, nauczył się, co można zrobić, a czego nie można, ale nic nie pomoże, że sam jest rozumny, skoro historia jest głupia. Teraz partia wpada w histerię, ale wciąż jeszcze nie przysłała delegacji swego Komitetu Centralnego i nie prosi, wstrząsnąć, żeby przejąć władzę. Lud natomiast, choć stanął przy nim, jest niedyscyplinowany, może dojść do tego, że tłum się nie rozejdzie, nawet jeśli on dobrym słowem każe wszystkim rozejść się i pójść spać. Stary milczał, moi przyjaciele wygłosili swoje zdanie, większość wzywała do wyruszenia, niektórzy nakazywali ostrożność. „A wy co powiecie, Z.”? Odpowiedziałem, że jeśli się nie mylę, w piwnicy jest skrzynka ormiańskiego koniaku. Latem przywiodł ją Susłow. Kiedy jako delegat z Moskwy złożył wizytę starym, wydalonemu z partii komunistów, z okazji jego sześćdziesiątych urodzin. Nie ruszamy się z domu póki spokojnie nie wyszczymy tej skrzynki koniakowi. Potrawa to chyba że dwa tygodnie, a przez ten czas opowiadamy sobie anegdoty. Potem zobaczymy.

„A lud?” — zapytał stary. „Jakoś to będzie. Możecie teraz zdecydować tylko o tym, czy każecie do niego strzelać, czy też odstąpić tę czynność rządzący poprzedniemu garniturowi. Czego nawarzyli, niech wypiją. A wy dopiero wtedy opuście ten ciepły pokój, kiedy i lud i Rosjanie zmęczeni strzelaniem, będą w chęci. Do tego czasu pijmy. Każdy kielisek koniakowi uwalnia was od odpowiedzialności za śmierć paru tuzinów ludzi”. „Słuchajcie T., urznieście się. To, co mówicie, to potworny czyn!” „Od kogo chcecie dostać władzę? Od ludu czy od Rosjan? Jeżeli od ludu, to trzeba Rosjan odebrać do domu i zrobić miejsce dla demokracji parlamentu i samorządu robotniczego. Jeżeli od Rosjan, to z pomocą milicji należy zapewnić spokojne wprowadzenie okupacji i systemu jednopartyjnego. Wydarzenia ruszyły z miejsca, między dążeniami jednej i drugiej strony tylko użycie broni może stworzyć nową równowagę. My, demokratyczni komuniści o pękniętych duszach, stoimy przed decyzją. Możemy się odsunąć na bok, tak byłoby najlepiej. Jeśli natomiast pójdziemy do parlamentu, to naszym czystym imieniem osłoniemy terror wobec zbuntowanych tłumów. Możemy też temu przeszkodzić, uczynić to, czego domaga się lud i pójść do więzienia, kiedy Rosjanie zaprowadzą porządek. Są i gorsze ewentualności: najpierw my postrzelamy do ludu, troszeczkę, nie za dużo, potem Rosjanie nas powieszą. Kraj teraz nie potrzebuje Rosjan, ale oni potrzebują kraju. Zachód go im odda? I nie chce się za nas bić. My możemy trochę do nich postrzelać, a oni w odpowiedzi zbombardują miasto. Nie możecie teraz wybrać i władzy i tego, żeby was kochano: stracie zaufanie albo ludu, albo Rosjan. Ja bym teraz nie obejmował władzy tylko po to, żeby za kogoś innego strzelać do demonstrantów. W najlepszym razie możecie zostać premierem odnowionego rządu satelickiego, rządzącego pokonanymi masami, jeśli one pogodzą się z waszymi nieco bardziej ludzkimi rządami jako z mniejszym złem. Nad tym zdążyłem się jeszcze zastanowić. W tym małym małym domku możecie sobie pożyć nie zostając prezesem rady ministrów. Czy nalać koniak?” „Stary cierpliwie wysłuchał mnie do końca, po czym wstał: „Wasze kalkulacje są rozsądne, ale ludzie mnie wzywają, więc idę. W zamieszaniu spokój starego człowieka może się przydać. Jeżeli zaś ten tłum ludzi, który wywołuje moje nazwisko, bierze na siebie ryzyko, to mnie nie wolno się tu kryć. I wiedzieć, że nauczyłem się jednej rzeczy: wydarzenia nie kształtują się tak, jak o tym marzymy, ani nawet tak, jak to sobie wyobrażamy w upiornych snach. Całkiem inaczej. Jest to gdzieś zapisane, ale nie wiemy, jak. Dlatego musimy postępować tak, jak nam dyktuje obowiązki”. Uśmiechnął się do mnie jakby prosząc o przebaczenie: „Bo widzieć, człowiek nie może się wyżyć swego kalwińskiego wychowania. Idźcie z nami!”. „Oczywiście”. „Czemu nie pójśćcie do domu?”. „Bo wariat ze mnie” — odpowiedziałem, i sprawiło mi.

„Ciężkość, że położył mi rękę na ramieniu. Stary nie był amatorem, spędził czterdzieści lat w tajnej służbie sowieckiej i odpowiednio do tego mieszał w sposób młodzieńczy bolszewicką rację stanu z zachodnim demokratyzmem. To, że jest powołany do wznieśnienia mostu między położeniem geopolitycznym i alternatywą demokratyczną — stanowiło godną pożałowania, elegancką pomyłkę. Różnice naszych stanowisk wyjaśnił z perspektywy ideologii i historii, gdyż w latach pięćdziesiątych on jako odstawiony na boczny tor profesor uniwersytetu czekał na potwierdzenie swoich teorii, ja zaś przez dwa lata czytałem co noc do świtu powieści klasyków brane z więziennej biblioteki. Przekładając w wyobraźni własny estetyczny finał usiłowałem się przygotować do odkładania z dnia na dzień, ale co dnia spodziewałem egzekucji, do której w końcu daliśmy nie doszło, że G., jakkolwiek mnie nienawidził, to jednak mnie potajemnie ocalił. Zameldował R-emu, że mnie powiesili, ale nie poinformował mnie, że pozostanę przy życiu. Może była to podłość z jego strony, a może niepewność, przez dwa lata codziennie przygotowywałem się na śmierć to gorsze niż raz przez to przeżyć, a jednak jestem mu wdzięczny, bo w sumie wydaje mi się, że żyć jest znacznie ciekawiej niż nie żyć. Przez dwa lata takiego podmiowanego życia, którego każdy dzień był ostatnim, odwykłem od tego, by przyszłość widzieć jako bezkresną majową łękę, po której — albo i gdzieś dalej poza nią — możemy hasać na naszych pięknych koniach.

Trzy lata później, nudząc się znowu w więzieniu, spoliczkowałem współwięźnia — mego młodszego brata Daniego — broniąc od zarzutu naiwnego poddania się prądom pamięć mego starego przyjaciela N., skazanego na śmierć. W moich oczach był on obrazem losu wschodnio-europejskiego. Choć i w tym wypadku pycha powaliła bohatera, jednak postać miłego, pogodnego profesora musi wzbudzić lekkie uśmiech. Bardziej niż by należało wierzyć, że poza jego osobą nie ma wyjścia, a słuchacze staną się potulni, kiedy podniesie głos. Stawiając na szczęście i urok osobisty spróbuje dokonać tego, co jest niemożliwe. Nie wtedy dopiero stanie się nauczycielem

narodu, kiedy zemsta powali wszystkich, którzy stanęli po głupiej stronie, nie wtedy, kiedy bity po głowie i nauczoney moresem lud będzie się spodziewać, że to on stopniowo uwolni z więzień pozostałych przy życiu powstańców. On nie zadowolony się zamianą kolonijnej bezwzględności na pełną dobrą woli opiekunię. On chce nowego kontraktu społecznego. Planuje taką fachową władzę socjalistyczną, którą kontroluje wielopartyjny system parlamentarny z radami robotniczymi na czele fabryk i niezależnymi związkami zawodowymi. Demokracja bez socjalizmu jest dobra dla kapitalistów, socjalizm bez demokracji dla aparatu partyjnego, dla robotników natomiast i chłopów. „Ludzie Europy Wschodniej nie byli tylko ofiarami swojej historii. W konkretnych okolicznościach tak właśnie ją robili. Są na tyle nieszczęśliwi, na ile pozwolili się unieszczęśliwić. Należy brać pod uwagę, nie tylko ryzyko działania, lecz i zaniechania” — powiedział kiedyś do nas. Nie szukał śmierci, ale kiedy nie można było uciec stając z boku, stanął na wprost niej.

Kiedy gromadnie wyszliśmy do samochodów, wyobraziłem sobie, że rosyjskie czołgi gestywnymi seriami ognia oczyszczają ulicę z demokratycznych tłumów. Może przetrwamy wstrząs i ster zdąży pozostać w naszych rękach? Ile razy w różnych rozgrywkach byłem przegrany dziećmi do jednego, a jednak tu jestem! Patrzyłem na zaczerwienioną twarz starego na odważny błysk męskiego spojrzenia i chociaż bardziej bym mnie pociągało sączenie koniakowi przez dwa tygodnie, niczym wzruszony Sancho Pansa szedłem za przysadzistym małym Don Kichotem, od którego dwustutysięcy tłum chciał usłyszeć, co teraz będzie. Albo pozostaniemy przy życiu, albo nie; jeśli zwyciężymy, zdąży wysiąść z zabawy; jeśli zaś przegramy, to i tak mnie z niej wyszł, a może nawet moją świadomości niedowiarka wyeksmitują z jej ziemskiej powłoki. W samochodzie porządnie pociągnąłem z flaszki, ruszamy w jej niedorzeczną rewolucję. „Znowu chleję” — powiedział z dezaprobatą stary — „przecież właśnie teraz potrzebny będzie jasny umysł”. Nie byłem na tyle beczelny, by odpowiedzieć, że teraz najmniej. Za jego karzącymi słowami wyczuwałem także pewną troskę, jakby zastanowienie premiera rządu: czy ten buktał na wodkę zasługuje na pluszowy ministerialny fotel? Prawda, że starym towarzyszyły osobistej życia publicznego bardziej ode mnie godne szacunku, wszyscy z anielskimi skrzydłami dobrych intencji, towarzyszyli mu wszyscy w drodze, która z uwagi na jego sztywną, nieco prowincjonalną moralność, prowadziła prosto do zubożenia.

(...) Dwa tygodnie w ciągłym ruchu i bałaganie, ani razu porządnie się nie mogłem wyspać. Brat nie spał więcej, ale gorączkował się i niecierpliwiał. Organizował komisje i stowarzyszenia o długich nazwach i nie mógł się tym nasycić. Ponieważ jednak pieczęć akceptacji otrzymać mógł przeważnie za moim pośrednictwem, bezustannie się mnie czeptał. Wciąż mnie łajał, nazywał rozlałym reformatorem, liberalno-biurokratyczną marmoladą, że niby nie mam pojęcia, co to jest rewolucja. „Czy nie lepiej, żebyś się położył?” — namawiałem go, „Mowy nie ma!” — potrząsał głową i zasypiał na siedząco. Jako dziecko też się wstydził spać, „ja tylko myślę z zamkniętymi oczyma” — tłumaczył się. Sużbowo nastąpił na niego ładną pulchną studentkę, która w butach z cholewami i z pistoletem maszynowym była odzobą przedpokojem w moim biurze. Podczas pełnienia służby w tartowniczej dzweczynie go uwodziła, on mówił jej o metafizyce rewolucji i o tym, kogo by należało sprzątnąć, ona przylizując się przyciskała go do muru, tak że ledwie mógł oddychać. W końcu Dani uczynił to, czego w owej chwili żądała od niego historia powszechna, a dziewczyna jeżała z wrażenia, dokładnie tak samo, jak w głębi puszczy wilczyca szukająca samca; muszę kiedyś postuchać, jak wilczyca szuka samca w lesie. Dani wcisnął jej w usta poduszkę i w rewolucyjnym natchnieniu powtórzył wywzyc, ale od tej chwili tak umykał przed oczarowaną i sapiącą, tłustą dziewczyną, jak ja przed nim, bo jego także denerwowało, kiedy wciąż czegoś od niego chcał.

Uwielbiał natomiast i wciąż mnożył pompacyjne komisje, których jedynym sensem było to, że mnie od niego uwalniały. Był przy mnie adiutantem, rzecznikiem, zaufanym doradcą, poważnym sekretarzem i kłótniawą żoną w masce młodszego brata, podczas gdy ja sprzeniewierzałem się postanowieniu, że nie będę się wplątywał w politykę; za karę wyłaniał się Dani. Wśród ludzi zachowywał się jak należy, ale dawał do poznania, że wszystko wie lepiej, a kiedy byłbyśmy sami, wymyślał mi na siłę wciągał w coraz to nowe przedsięwzięcia. Z ważnością człowieka w tajemniczonego roztrzącał petentów oczekujących w przedpokojach na wejście do mnie, każdy musiał się zorientować, że jest on tu przynajmniej na drugim miejscu i że go nie można pominąć. Zorganizował mi straż przyboczną, do mnie mógł dostać się tylko ten, kogo on odpowiednio spreprowaował, on też potem wyprowadzał ode mnie interesanta i w przedpokojach prostował moje pomyłki. Lubił w dramatycznych chwilach wpadać na zebrania komitetów i zdyszanym głosem referować wiadomości, po czym obecnych ogarniał zapał do rewolucyjnych czynów. W sposób mistrzowski potrafił z pomocą trzech ludzi zwołać dziesięć tysięcy, zorganizować biuro, sekretariat, samochód i uzbrojony straż, zredagować propozycję uchwały i zatrudnić innych przy formułowaniu namierzonych odezw. W końcu to wszystko wytknął mi pod nos, żeby podpisał. Powielacze i maszyny drukarskie posłuszne były jego skinięciu, a teksty skierowane do opinii publicznej, zaopatrzone w mój podpis na złowrożeńie dostojnym miejscu, natychmiast trafiały przed masę, a jednocześnie do pedantycznie prowadzonych teczek, co nadeło potem galopujące tempo postępowaniu śledczemu. Cytowano mi teksty pokazując papiery: „To wasz podpis, prawda?” — pytali kpiąco. „Mój, niech to cholera leżmie” — przyznawałem. Materiały mego śledztwa, przeważnie dzieło Daniego, ledwie się mieściły na stole i swoją ohydą masą pchały mnie coraz bliżej ku nieprzyjemnej drewnianej konstrukcji na więzieniu podwórzu, która stała na drodze wielu moich przyjaciół podążających w kierunku raju.

(...) Ogarnięte rewolucją miasto wyciąga mnie z parlamentu, na każdym rogu zachwyt i odraza, razem to dość śmieszne. Zbawcy kraju wymachują pięściami w powietrzu na straganach-mównicach, żądania skierowane do gapiów i do całego świata. Obcy sobie ludzie, pijani ciekawością i chęcią zbliżenia, co krok stajemy i gadamy, dwa miliony wsiowych w jednym mieście, wszyscy są znajomi wszystkich. Każdy przechodzień jest świadkiem i żywą gazetą, oddziałem ratunkowym i jednostką karną, grupą partyzancką i partią polityczną. Z czołgów karabiny maszynowe omiatają ulicę, między dwiema seriami ludzie z nosami na ochotnika wysuwają się z bram. Gdy się czołg zbliża, chytły tłum odkrywa głowy i dziesięć razy pod rząd śpiewa hymn narodowy. Rosjanie przez pewien czas czekają, bo jakoś nie wypada strzelać, potem mają tego dość i dalej traskają. Fryzjer zgolił mi z połowy twarzy trzydniowy zarost, grupa demonstrantów rzuciła się na ziemię pod serią puszczoną na wysokość pasa, akurat przed zakładem fryzjerskim. Fryzjer wygląda zza koronkowej firanki i po błady odkłada brzytwę: „Nie z tego proszę pana, niech pan spojrz jak mi ręka drży”. „Tak mam wyżyć?” „Albo pan poczeka, aż się uspokoi, albo tak pan pójdzie. Tylko, że ze mnie straszny tchórz, może przez cały dzień będą mi ręce drżały”. Z zarostem na połowie twarzy idę załatwić sprawy, seria z karabinu maszynowego, nogi podo mną drżą. Nigdy nie byłem taki odważny, żeby się przyznać, jaki ze mnie tchórz.

Na ulicy ludzie się opalają, na jedni czerwona, białozłota gwiazda, czołgi, ulica jest ciekawa, czy przejeżdża po niej. Pierwszy przejeżdża, drugi także, trzeci wymija. Na skraju jezdni jakiś człowiek naprawia motocykl, czysty benzyna i wyciera szmatą jakąś część, ale czołgista, żeby nie przejechać czerwonej gwiazdy, najedź na motocykl. Ubrudzony smarami motocyklista patrzy na zgniecione żelastwo, kilka kółek zębatych i płamę z benzyny na bruku. Wyrwa z jezdni białozłotą kostkę i ze swego

mieszkania na trzecim piętrze rzuca ją na przejeżdżający czołg. Żołnierz sowiecki pada, drugi obraca karabin maszynowy i na osłep wali w tłum i w okna. Tak wygląda wojna, wszyscy trochę przesadzają. Z ciężarówki spółdzielni wiejskiej darmo rozdają kurczaki i kartofle, kraj chce ugodzić wywołaną stolicę. Do nie strzeżonej skrzynki ludzie wrzucają pieniądze: to zbiórka na wdowy po rewolucji. „Czy pomyślałbyś kiedyś, że tak przejdziemy obok?” — pyta złodziej kieszonkowy kumpła i bierze go pod rękę. Z rozwalonego domu towarowego wychodzi człowiek, który nie mógł przepuścić okazji: pogrobił a trzy garnitury włożone jeden na drugi, przy szyi zwisają metki z cenami. „Cóż to, warstwy się ubierasz ze strachu przed zimnem?” — pyta ktoś. Jakaś kobieta sięga nad głowami tłumu i bochenkiem ciepłego chleba, dobre dwa kilo, po który stała w ogonku, wali go w głowę. Przerazona twarz w koronie z chleba. Przestał się bać, że go zabiją, śmieje się ze wszystkimi, żarliwie gryzie i łyka ciasto, potem opiera się o drzewo i wymiotuje.

Ocierając się o mur wyruszasz z domu, trzaskają karabiny maszynowe: z czerwoną gwiazdą w kłapie jako doskonały cel idzie brzegiem chodnika stary Maxi. Idzie po chleb. Strzelanina jego nie dotyczy. „Panie Maxi, to nie spacerowa pogoda, grad wali”. „Oni mi nie zrobią krzywdy, chłopce, jestem ich przyjacielem. Ja już w 19 roku stałem na czele dyrektoriatu. Boję się tylko tego szczeniaka z naszej kamienicy, któremu zabrałem procę, bo strzelał do gołębi. Teraz może mnie sprzątnąć, bo jest bojo-wnikiem o wolność”. Stary Maxi dotarł do piekarni, gdzie cała kolejka przywarła do muru, albo leżała brzuchem na ziemi i po pustej jezdni, pogwizdując Międzynarodówkę, śmiało wracał do domu. Był już niemal przy bramie, kiedy nagle coś go zatrzaśnięto, z szyi trysnęła czerwona fontanna i jeszcze parę sekund stał z dwoma bochenkami pod pachą. Pociśk z działka czołgowego urwał mu bezwzględnie głowę. Kilku wyrostków z kamienicy przyciągnęło jego ciało pod mur, pa którym wojenne ślady kul czas przycmiły sadzami, a świeże jasno zakwitły.

Trzeba wykorzystać strajk powszechny jako płatny urlop: rodziny z dziećmi przemakają na świąteczny obiad do babci. Wicedożorca przyptuje ze złością na jakimś podwórzu z pistoletem maszynowym w garści. Tak, on załatwi tego partyjniaka z pierwszego piętra! Starzy zegarmistrz i grawerzy ze swoich warsztatów zerkają na pasaż łączący osiem podwórz. Szerzbaty pomocnik dozorczy obloknie lufę pistoletu: „Zamienimy się miejscami! Oni we dwoje z żoną zajmują trzypokojowe mieszkanie, a my w piątce gnieździemy się w tej dziurze. Oni gwałtownie zjeżdżają na dół, a ja pójdę na górę. A jak się zapyta, czy mam na to papier z pieczęcią? No to ściągnę z ramienia pistolet i powiem: Oto moja pieczęć, ty podły komunisto, ty żydółku! Zmiasz, albo ci feb rozwalę”. Młoda kobieta w kuchennych drzwiach chlusnęła na niego zimną wodą. Druga wysypała mu na głowę kubek maki. „Chodź wreszcie do domu, ty głupi, bo zupa ostygnie!” — huknęła małżonka na wicedożorcę z klejem na łbie. W zbiegniętej dłoni trzymam kieliszek rumu przy oknie kawiarni. Pana Antaola, karta, kelnerka sadza na ładzie, żeby lepiej widział. „Zanim mnie powiesz, Franciszko, pani będzie moim ostatnim życzeniem na noc” — prawie jej komplemety. „Pana powiesz, kochanie? To jeszcze daleko. Teraz lnni są na tapcie”. Naprzeciwko, na latarni, istotnie wieszają właśnie kogoś innego. Nim tam dochoǳę, uwieszni u jego stóp już załatwili pęknięcie kregostupa przy szyi. Gdybym się nie zagadał z Franciszką, może zdołałbym go uratować. Trzy kobiety kłęczą na chodniku obok trupa przykrytego flagą narodową. Sadzą go na wózku inwalidzkim i zawożą na plac zabaw dla dzieci i tam chowają pod kasztanem. W ciemnym warsztacie, schloǳając, stolarz klei tymczasowy krzyż nagrobkowy synowi. Płomyki świec chwieją się w oknach i na grabach.

Ukryci na dachach żołnierze służby bezpieczeństwa kierują ogień zaporowy na plac. Kule seriami w kolana koszą atakujących. Za krzakami ktoś rzuca się na ziemię, dyszy otwartymi ustami, krzaki to takie schronienie, jakim w dzieciństwie była poduszka przed złą czarownicą. Chwilę czeka, zrywa się, biegnie zrykami, osuwa się w gro-made padających. Wielu ucieka z placu, jeszcze więcej pozostaje na bruku. Z okna mego biura w parlamencie odzwajaniem strażą bezpieczeństwa, wykrzykujących z radością na przeciwnym dachu. Przestają strzelać do zrywających się z ziemi postaci, kryją się za obudową ściany szczytowej. Przerazeni biegają jak skoųowalci po strychach, przebierają się w ubrania cywilne odbierane pod groźbą broni. Strach, który ich dopiero co podjudzał do zabijania, teraz, pod przebraniem w cudze spodnie i płaszcz, działa im na kizki. Gdyby każdy miał pół godziny czasu, żeby się zastanowić, czy naprawdę chce zabić człowieka, którego właśnie bez namysłu zastrzelił, z pewnością nie padłby nawet jeden strzał.

Nazajutrz portretuję w komendzie milicji, jestem czymś w rodzaju ministra. Rozbawieni powstarcy wciąż strzelają w okna, przez nich nie można sensownie portretować. Sypie się szkło, śmierzdzący potem ze strachu, umundurowani milicjanci na korytarzu opuszczają oczy. Woliliby teraz nie chwytać za broń, tylko wrócić do swych rodzin. Około pięćdziesięciu udaje mi się przekonać, że rządy musi mieć jakaś siła porządkowa i jeśli tych zbuntowanych tu nie wprowadzimy, to tylko na czworakach będziemy mogli się poruszać w komendzie milicji. Zza wzniesionych na prędko barykad wygarniamy ze dwudziestu bojowników, przeważnie młodzi. Jest także wśród nich strach, który przyjechał do Budapesztu na zakupy i zaskoczony bezradnie się wahał. Z jakiejś ciężarówki wetknęli mu w rękę pistolet maszynowy, do krewnych na odległe przedmieście nie miał odwagi pójść, zgodził się więc na przyjęcie daru wraz z zaproszeniem, żeby został z nimi ze swoimi frontowymi doświadczeniem z dwóch wojen światowych. Z sierżanta frontowego przedzierzgnął się w dowódcę powstańców, przeprowadza ataki na liczne posterunki milicji i na koszary wojskowe. Żołnierzy puszcza wolno, paru oficerów stawia pod ścianą. Doprawdy, starczą mu dwie wojny, nie miał wcale ochoty na walki uliczne, ale się wplątał. Przeklina pomysł wyruszenia ze wsi.

Dowódca drugiego oddziału jest więzień-górnik: przed sześciu laty przebywał jeszcze w Moskwie w szkole oficerskiej, ale z powodu serbskiego pochodzenia odesłano go do kraju. Miał pudełko ze zdjęciami cerkwi i ikon ze swojego miasteczka, z własnej pilności chciał napisać historię kościoła grecko-katolickiego, jako, że jego ojciec był popem. Oskarżyli go o szpiegostwo na rzecz Jugosławii i przez cztery lata czołgał się na brzuchu w takich chodnikach, gdzie nawet nie można było ułknąć. Wyżywienie dostawał porządne, ale i bicie, oko za oko, do tego doszedł przez te cztery lata. Teraz wystroił się w jedwabne szaliki i szeroki pas żołnierski, kto by chciał mu odebrać pistolet, ten jest klawisz. Tak długo nosi bezpiecznie własną głowę na karku, jak długo ma w garści kławią broń i kilka ładowni na tyłku. Teraz, kiedy go milicjanci rozbroili, jest znowu zbitym nieszczęśnikiem. W ciągu lat nauczy się błyskawicznie uskakiwać na widok podnoszącej się ręki i zdejmować czapkę, gdy nadchodzi jakaś szarża. Zuchwaństwo i pokora na zmianę malują mu się na twarzy, kiedy podnosi rękę do góry.

Jest wśród nich przygarbiony chłopak o zapadniętych policzkach, którego twarz zapamiętałem. Dzwigał nosze przed parlamentem, z płaszczem przebiegał wśród żywych i martwych. Między tymi ostatnimi był jego przyjaciel. Zapytał czy nie dałbym mu swego pistoletu maszynowego. „Raczej nie dam” — odpowiedziałem. „Nic nie szkodzi, gdzie indziej się postaram” — odpowiedział. Zorganizował sobie grupę. Na próżno żołnierze sowieccy z płonącego czołgu schronili się w jakimś domu, przygarbiony chłopak ze swoim oddziałem wziął pod ostrzał pistoletów maszynowych nietynkowany ceglany mur żółbka, w którym nie dzieci się trzęsą, ale również bezradne duże wyrostki z wpadniętymi oczami. Z sąsiednich dachów powstańcy wrzucili przez okna granaty. Rosyjscy żołnierze nie śmieli podejść do okien, ale oblegający wdzili po drabinach na piętro, a potem wyrzucili przez okno nadpalone zwłoki. Rozbiliśmy ich dokładnie — powiedział waty student filozofii. Jego małoletni podwładni uśmiechali się z ponurą dumą. Teraz wszyscy znaleźli się w komendzie milicji. Kontynuowaliśmy rozmowę w sprawie stworzenia nowej gwardii porządkowej.

Tymczasem osmieleni milicjanci i pracownicy komitetu partii, którzy się tu schronili, ustawili powstańców na korytarzu twarzą do ściany. Jeden z urzędników partyjnych tłukł ich głowami o mur, aż krew płynęła z nosów. Zeszliśmy tam z komendantem milicji i uwolniliśmy wszystkich. Niech tylko nie strzelają do tego budynku, a kto chce, może się zgłosić do nowej gwardii narodowej. Tego samego wieczoru kilka tysięcy ludzi otoczyło budynek chcąc uwolnić więźniów. Przez tubę z balkonem poleciłem im wybrać delegację, niech się przekonają, że wszystkie cele są puste. Oprawdaliśmy delegację od piwnic do strychu. Tylko w jednej klatce popędzaliśmy ich, bo pod jedną z przycz ukryty był skłonny do bijatyk członek komitetu partii. Niepokojąco dyszał, gdyby go spostrzeżono, pewnie jego obłożone tłuszczem ciało nie pozostałoby nietknięte. Rok później jako oficer milicji chełpił się, jak walcząc z kontrowersyjnymi. „Pan?” — zdziwiłem się — Czy wtedy, kiedy pan policz-kował rozbrojonych ludzi? Albo kiedy się pan zśisał pod przyczą w celii?” Popatrzył na mnie tak, jakby mu się ten obraz całkiem wymazał z pamięci. Dostosował swoje dzieje do otrzymanego za udział w ruchu oporu orderu. „Na stare lata każdy staje się bohaterem” — powiedziałem ze zrozumieniem. Za znajomości nie dała mi jednak żadnych korzyści. Stale chciałem mnie oszukać przy formułowaniu protokołu, pisał co innego niż dyktowałem i wrzeszczał, żebyśmy nie kłamał. Rozzłościłem się i oparłem głonie o jego biurko, wtedy przycisnął nerwowo dzwonek. „Radzę wam uważać — zasyczał — człowiek wolny zawsze ma przewagę nad więźniami”. „Zawartość mojej klatki stolowej jest bardziej wolna od was” — odparłem ordynarnie. Przestałem się do niego odzywać, nie słyszałem jego pytań, dwa tygodnie później odkomenderowano go gdzie indziej.

Nazajutrz odwiedzam powstańców, żeby zobaczyć, co to za jedni. „A wy po czyjej stronie jesteście?” — zapytał student o złych oczach. — Najpierw mnie zamknęliście, potem uwolniliście. Czemu kazaliście nas schwytać? Czy po to żeby nas wypuścić?” „Po to, żebyście do mnie nie strzelali. Człowiek nie jest w stanie spokojnie portretować, kiedy do okna strzelają”. „Z nami, czy przeciwko nam?” — upierał się chłopak. „Czy jesteście, aż tak ważni, żebyśmy wszystko do was przemierzał?” „Tak” — odpowiedział — jesteśmy ważni, bo strzelamy. A broni z rak nie wypuścimy. A wy tylko gadacie bez sensu” — powiedział i oparł się o ścianę domu. Pigawatą twarz wystawił na promienie słoneczne. „Ja przez trzy lata siedziałem w poprawczaku, bo uciekłem przez granicę” — oznajmił. „A ja przez cztery lata siedziałem w więzieniu, a teraz stoję przy nowym rządzie, którego jestem niejako członkiem”. „A czego chcecie?” „Żebyście i wy i Rosjanie przestali strzelać. Popatrzył na chodnik, po kostki stoimy w odłamek szkła i gruzu”. Pigawaty wybuchnął skrzykami w śmiechem. „Niech jeszcze tysiąc domów legnie w gruzach, niech nawet dziesięć tysięcy ludzi zginie, ale będziemy wolni!” „A jak dziesięć tysięcy ludzi zginie, a my nie będziemy wolni?” — zapytałem. „To być nie może” — odpowiedział niepewnie. „Bardzo może być, chłopce. Nie ma was nawet tysiąca. Oni zaś mogą na nas wysłać pół miliona żołnierzy z czołgami i samolotami. Nie powinniśmy ich doprowadzać do wściekłości”. „To proste, w takim razie zginie!” „Nagle, jakby przemówił student filozofii: „Musimy dojść do ostatecznych granic naszych możliwości. Rewolucjonista dąży do tego, co niemożliwe i nie ogląda się na okoliczności. Nie do nas należy odmierzać, ilu nas jest. Własną śmierć stawiamy za przykład. Nastąpi taki czas, kiedy szaleństwo jest zdrowiem, a rozsądek chorobą”. Usiadł i całkiem cicho dodał: „Tylko wtedy mogę znieść samego siebie, kiedy jestem nie do zniesienia. Jestem bardziej wolny od was, bo wiem na pewno, że nie przeżyję tej rewolucji”. Pół godziny później wokół chłopca zrobiło się zamieszanie. Dwaj młodzi powstańcy poznali, że jest ich dawnym kolegą szkolnym. Nazwali go podłym donosicielem. Przed kilku laty chcieli uciec we trzech za granicę, chodzili do tego samego gimnazjum. Kiedy nadzedł umówiony dzień, na miejscu spotkania czekali ludzie ze służby bezpieczeństwa, a pigawatę nie było. Podczas przesłuchań natomiast cytowano jego bardzookładne zeznania, wyjawiające wszystko. Teraz dawniejsi koledzy odebrali mu karabin maszynowy i kazali zmiażdżyć. Pigawaty popatrzył na mnie. „Nie chcecie się i tak nie macie racji!” Poprosił, żeby mu pozwolono pójść do ubikacji. Pozegł się strzał. Widocznie miał przy sobie jeszcze jeden pistolet i zdobył się na odwagę, żeby sobie strzelić w usta. Pulchna dziewczyna o wielkich oczach zasłochała. „Nie chce, żebyście zginęli, chłopcy — powiedziałem — spróbujcie związać za granicę”. „Tacy mądrzy ludzie zawsze nam radzą, żebyśmy byli ichorami.” — powiedziała smętnie dziewczyna. Ona także wyszła z poprawczaka, teraz pracuje w kuchni dla powstańców. Ciężarówka z piekarni przywozi świeży chleb, a pod bochnami amunicję. „Niech pan popatrzy na tę flagę — pokazała flagę z zaschniętymi plamami krwi — to mi zostało po najlepszej przyjaciółce. Siłyśmy w demonstracji. Była spokojna, grubawa, nawet nie wznosiła okrzyków. Zastrzelili ją. Od tego czasu trzymam z chłopakami”. „Czy i ty strzelała?” „Nie umiem. Podchodzi tylko do czołgu, nie wydaje się taka podejrzana i rzucam ukrytą pod płaszczem butelkę z benzyną”. „Czyś widziała jak potem wyglądała czołgiciel?” Nie widziała, ale wie, że okropnie. Żywcem się pali we wnętrzu czołgu, a zwęglone zwłoki tak się kurczą, jakby byli dziećmi. Długo rano widziała takiego, wyglądał jak czarny karzełek. Sanitarzusi chcieli unieść ciało, ale za dotknięciem rozpadło się, jak ulepiony z sadzy posążek. A jej kolega nad Dunajem schował się do skrzyni z piaskiem zakładu oczyszczania miasta. Z radzieckiego czołgu wyskoczyło dwóch żołnierzy, podnieśli wieko, puścili serię do wnętrza i zamknęli z powrotem. Piasek wchłonał krew. A jej babcia nie chciała zejść do piwnicy, bo nie lubi smrodu stoczonych ludzi. Ulica była całkiem spokojna, ale wjechała nagle kolumna czołgów i z wieżyczki jednego ostrzelało jedynę oświetloną okno. W tym pokoju leżała babka. Nazajutrz dziewczyna posłała zanieść jej chleba, cały pokój był oblepiony zakrwawionym pierzem. Babcia nie odżyje, jak spalisz innych młodych żołnierzy, takich, którzy do niej nie strzelali” — powiedziałem ponuro. „W domu to oni są różni, jeden Sasza, drugi Wania. Ale tu wszyscy są jednacy, to żołnierze, którzy nas napadli”. „Oni wcale nas nie nienawidzą, tylko boją się was, a jeszcze bardziej własnych dowódców”. „Ja też się boję” — mówi dziewczyna. „Nie mogliśmy sobie dać rady.” „Teraz chce dotrzeć do koszar na przedmieściu, które zajął oddział powstańców, a z odległej góry ostrzeliwują je z dział Ruscy”. „Czemu chcesz tam iść?” „Bo do nich strzelają, a oni nie mogą. Chcemy być razem z nimi”. „No tak, uważaj na siebie. Własne życie to nie jest wiele, a wszystkich innych jeszcze mniej”. Półtora roku później znnowu się spotkaliśmy. Na dziedzińcu więziennym stał dziwny okragły budynek, wewnątrz podzielony na części w kształcie kawałków tortu, bez dachu, gdzie wyprowadzano więźniów na spacer. Nad tymi pomieszczeniami przetrzuty był mostek, po którym chodzą strażnicy. Parami chodziliśmy po tych zagrodach. Obliczyliśmy, kiedy strażnik się odwróci i wspięliśmy się po splecionych dłoniach i ramionach towarzysza: zdołaliśmy zajrzeć przez mur. W sąsiednim wycinku spacerowały dwie dziewczyny, spostreżęły mnie. Jedną z nich była wielkooka, która na ciężarówce z pieczywem przewoziła amunicję. W więzieniu zobaczył kobietę to święto. Przez długie dni można o niej śnić. Ktoś miał argentyński znaczek pocztowy z rozebraną prezydentową, kosztował paczkę papierosów. Właściciel przylepił go na górnej przyczy i całymi godzinami przyglądał mi się z rękami założonymi pod głowę. „Jle dostajesz?” — zapytała dziewczyna. Ona wychowana poprawczaka, ja — były minister. Teraz faktycznie mogliśmy sobie mówić po imieniu. Dzieliłymi ten sam smród, zwyczaj i strach, na takich samych koczach i kamiennych podłogach, między takimi samymi lufami pistoletów i zarygowanymi drzwiami, tak samo wygnani z raju żyjących na wolności w najciemniejsze zakątki budynku, z jednej nory do drugiej nory, z jednej świadomości do drugiej, w najtańsze korytarze nie odkrytego labiryntu jaskiń, dokąd nie podąża za tobą strażnik więzienny, gdzie mury pociągają się zimmerudym blaskiem, gdzie pył ciszy wchłania kroki, gdzie ty sam z wahaniem wkraczasz, gdzie wołają cię rozpływając się w mroku matki, coraz głębiej, tylko cienie ich o woni ciała malują się na zimno

zarzycy się kamieniami, gdzie z hienim chichotem tanecznym krokiem wpadają do środka, gdzie miecz strachu spada na niewiadome szyje prześladowców, i stąd zawsze jest dalsza droga: do wnętrza skierowanego na ciebie oka, w którym za ciemną bramą żrenicy nie pozostaje ci nawet czas na jedno uderzenie serca. „Jesteś dobiegł?” – zapytała dziewczyna, a ja w powietrzu narysowałem poziomą ósemkę, znak nieskończoności i dożywocia. „A wy?” – zapytałem raczej spojzeniem, niż zseptem. Dziewczyna ze znużonym uśmiechem wyrzuciła sobie pętlę na szyi. „Prawomocny?” – szeptałem, one twierdziły skinięty głowami. Rzuciłem od ust pocałunek, odwzajemniły się poprzez beztętność, wonięjącą kuchnią opary. Strzałnik dochodził do końca mostku, zeskoczyłem na ziemię. „Dwie dziewczyny. Strzyżem” – wyjaśniłem swemu towarzyszowi. Mieliśmy trzy papierosy, przeczuliśmy im. Ktoś goś dnia o świącie na żelaznych schodach rozległy się znane kroki. Wewnętrzny szyb budynku, sięgający od dachu do parteru, był jak rozróżniona studnia. Wysocki dziewczęcy głos wykrzyknął nazwisko prosząc, byśmy o niej myśleli. Uczyniliśmy to, jeden z krzykiem, inni kłęcząc, a był i taki, który pięściami walił o mur. Byłem przy nim. Kiedy czekałem na własną egzekucję, nie czułem się tak obecny na miejscu straceń, jak teraz przy tej dziewczynie. Kiedy znów utworzyłem oczy, jej ciało pod plandeką leżało na wózku w drodze do kostnicy. Mężczyzna w skórzanym płaszczu stoi na rozwalonym czołgu, na dolnej wardze spieniona ślina – podjudza do natychmiastowego wieszania oficerów bezbezpieczeństwa. Obok niego jakaś kobieta podaje mu plastyk cytryny, bo język mówcy wysycha od niewiadomości. Ktoś krzyczy: „Ja was znam, wy też byliście w bezpieczeństwie, wyście mnie bili!” Mówca w skórzanym płaszczu oskarża tamtego, że jest komunistycznym prowokatorem. Biorą się do rękoczynów, jednemu i drugiemu krew się puszcza z nosa. Robotnicy tragarze-naradzają się, którego należał wykończyć. Kwestia nie jest dla nich bardziej podniecająca, niż decyzja, który szafę trzeba wnieść na piętro. W bramie stoi kobieta jak ulepiona z ciasta i nawołuje: trzeba zlikwidować lokatora z trzeciego piętra z całą rodziną. Tylko nie tutaj, żeby nie zalać krwią podwórza, zabierając go na pusty plac w sąsiedztwie. Za nią woniące pleśnią mieszkanie dozorczy z muchotłapką nad stosem brudnych naczyń, w szufladzie odpis donosu na lokatora, którego żona wytrzępiła kurz przez okno, a dziecko rozrzuściło piasek na podwórzu; tego dozorczy nie zapomina. W dozorcowości chrapie mąż ze skrzywioną przegrodą nosową, którego tamta góra mięsa przy boku do niczego nie podnieca. Patrzę na jej zezowatą głowę, nawet kotka bym jej nie powierzył – pęty nie powróci do swojej nory, póki nie znajdzie gotowego do akcji pistoletu maszynowego. Z bratem, który ma broń wchodzący na trzecie piętro, gdzie przerażony lokator przyznaje, że gra w orkiestrę dętej służby bezpieczeństwa. Aresztuję go, dozorczyńcy tymczasem swobodnie buszują po szafach. Na klatce schodowej pierwszy idzie mój brat, za nim przerażony muzyk, na końcu ja z ręką na lufie automat. Odprowadzamy go do najbliższego narożnika, prowadzą nas nieważne spojrzenia. Tam daję mu radę: niech się ukryje u jakichś krewnych, póki porządek publiczny nie powróci. Nasz więzień dostaje czkawki ze wzruszenia, nie rozumie, jakim cudem pluton egzekucyjny przemienił się w odsiecz. W przekopanych parkach na świeżych mogiłach palą się cienie świeczki. Podnoszę nadpalony tom „Wojny i pokoju” w języku rosyjskim. Z jakiejś piwnicy unosi się woń nie wietrznej pościeli. Obok na chodniku ciało zabitej kobiety przykryte brnatnym papierem pakowym. Powstaniec przeszkakuje z dachu jednego domu na drugi. Na rynnie traci równowagę, leci do tyłu, ale w powietrzu wciąż ścisła pistolet automatyczny. Na wystawie obrabowanego sklepu wieszę przypięte do deski: obiecuje wolność albo śmierć. Ranny koń rży na zakrwawionych gruzach. Grupa powstańców ostrzeliwuje lokal partyni, dzwonię tam z rogu placu, telefon przyjmuje dawny towarzysz więzienny. Prosi o pomoc, ale nie mogę nic poradzić, nie mam broni. Radzę żeby się wycofał od tyłu, on jednak chociaż został wyrzucony z partii, postanowił w razie potrzeby bronić barykady. „Czy wiesz, czego pilnuję?” – pyta z gorczyca i wymienia nazwisko jednego z przywódców partyjnych. – Jego gabinetu, a w szafie znalazłem stos butelek po wódce i używanych damskich majtek”. Nie może nawet celować, tak gęsto świszczą kule, teraz rzucony granat urwał mu pośladek. Jakaś kobieta wyskakuje z czwartego piętra i zabija się na bruku. „Odejdź od okna, spróbuję cię wydestać tylną bramą” – powiedział rozpacziwie. Siedzioba partii poddaje się, białe ręczniki w oknach. Oficera bezpieczeństwa, kiedy wychodzi i rzuca broń, jeden z powstańców uderza kamieniem w ciemną. Za sznur uwiązany do stóp ciągną go po bruku, głowa stukła o bruk, tłum się rozstępuje, zdjęcie poobijanego o bruk ciała. Kamra cofa się: starsza kobieta wiska sobie do ust parasolkę. Stary mężczyzna w typie profesora krzyczy jej prosto w twarz: „Ty też byłaś suką ruskich” i spłuwa. Ciało wisi teraz głową w dół, operator znowu ustawia tłum, niektórzy zmuszają usta do uśmiechu, jak na grupowym zdjęciu szkolnym. Na podstawie tego zdjęcia część obecnych zostanie później rozpoznana przez milicję, a kogo odnajdą, tego powieszają. Teraz nożami ćwiartują na pół nagie ciała ofiary; jeden z powstańców z litości strzela jęczącemu z bólu w twarz. Inny powstaniec podchodzi do ubranego w skórzaną płaszcz swego dowódcy, który stoi oparty o mur. Chłopców z całej siły uderza go w twarz, potem kładą nad kratką w rynsztoku i wymiotuje. Dowódca powstańców wyciąga pistolet i strzela mu w głowę; chłopiec ma szyję owiniętą długim, pstrym szalikiem, chociaż jest dość ciepło. „Tego nie powinien robić” – mruczy jakiś starszy człowiek; „zdradca” – syczy rozczochrana dziewczyna, stary bokiem się wycofuje, ludzie kują się jak przed zimnem. We wszystkich oknach domu partii wiszą na sznurach popiersia Lenina, Stalina i Ręgo. Zbliża się radziecki czołg, tłum się rozpierzchł. Człofici nie wiedzą, do kogo strzelać, trafiają kilka biegnących postaci, a serie z karabinów maszynowych kierują na wiszące popiersia: lecą odłamki gipsu i porcelany. Przyjaciela znajduje gdzieś na korytarzu, leży pokrwawiony pod czerwonym sztapdarem. Niosę go na plecach, ktoś chce do niego strzelać, ktoś inny pomaga dźwigać za nogi. Na najbliższym rogu kierowca samochodu osobowego ofiaruje się odwieźć go do szpitala. Nie mam zaufania, może go chce zastrzelić, zawiozę go sam na stół operacyjny. Padający ze zmęczenia lekarze oczyszczają ranę pośladka. W sali, na ciasno zsuniętych łóżkach, powstańcy, Rosjanie, żołnierze ze służby bezpieczeństwa – jedni leżą obok drugich. „Żebyś zdechł!” – syczą i podają sobie wodę. „Jak wyzdrowieję, to cię ubiję” – wydobywa się głos spod bandażi grubo spierzonych na głowie – nie wiadomo czyje. „Poznaję pana” – szepta jakis ranny do pochylonego nad nim lekarza – „pan jest komunistą, niech mnie pan nie dotyka”. Jego sąsiad radzi to samo: „Nie zajmuj się nim, towarzysz, niech ten faszystowski zbój zdycha”. Chwilami nieartykułowane dźwięki jednoczą różne wyznania polityczne. W rewolucyjnej redakcji wokół biurka czterej stojący mężczyźni usiłują się nawzajem odepchnąć. Wszyscy czterej pracowali przy tym biurku, ale w miarę następujących po sobie zmian politycznych wszystkich czterech wyrzucano. W kącie pokoju piąty dziennikarz zafamuje ręce, on był ostatnim i jeszcze nie odprawionym spadkobiercą biurka; czterej wyrzuceni dochodzą do porozumienia, że dwi piąty nie wchodzi w rachubę. Przebiegam wzrokiem gazety, konkurs frazesów obestany przez starych kombinatorów i młodych ośwów, sami pełni zachwytów łowcy ochotników. Partie się rodzą, łączą, dzielą, przyjmują nowych członków, innych wyrzucają, kto co obiecuje? Tu stanowisko wiceministra, tam redaktora naczelnego. Kiedy wchodzę do swego przedpokoju, słyszę ryczący głos: „Co się należy, to się należy, dość się już nacierpiałem, nie ruszę się rądz, póki nie dostanę nominacji na dyrektora”. „Każ pan sobie przynieść żywność na kilka lat” – radzę mu. Czekać mnie założyciele partii, ludzie żądający zadośćuczynienia lub wysokiego urzędu. Zjawiają się hałaśliwe delegacje z miast i fabryk, składające oświadczenia ujęte w punktach. Przez dwa tygodnie siedzieli cicho, a teraz oznajmiają, że nie uznają nowego rządu, póki nie odeślęmy wojsk sowieckich, a może nawet w swoim mieście ogłoszą powstanie samodzielnej republiki. „Czemu ich sami nie przepędzicie?” – pytam. Patrzę obrażeni: „czy wam się zdaje, że jak premier im powie, żeby byli łaskawi się wynieść, to

oni się wyniosą?” „Nawet jak nie pójdą, to przynajmniej od kogoś to usłyszą” – wykrzykuje jakiś młody człowiek. Były oficer wyciągnął z naftaliny stary mundur gelowy; obok niego w szamerowanym futrze fokowym i pasiastych spodniach wieziennych stoi stary, dawny radca ministerialny, który domaga się natychmiastowego zadośćuczynienia; oficer chce znów dowodzić swoim pułkiem huzarów i energicznie stara się mnie zawstydzić: „Jak sami nie pójdą, to im wypowie wojnę!” Młody człowiek ze szklanym okiem, przez to bardzo poważny, uspokaja go, że praktycznie pobiliśmy Roskich. Oddziały, które im pozostały, są niezdolne do walki, brak im amunicji, przegnął ich to dziecinna zabawa. Tę opinię podziela były oficer sztabowy. „Pozwolił im spokojnie odejść pod warunkiem, że we wszystkich miastach na rynku poproszą o przebaczenie, jak nie, to ich zaatakujemy” – gorączkuje się stary o białych wąsach.

Członkowie dawniejszego przywództwa, którzy przed kilku dniami chcieli miotaczami ognia rozprasać tłum, teraz słabymi głosami telefonują: żeby postawić wartę przed ich mieszkaniem. Telegramy od zawiadowców stacji: nowe dworzec radzieckie wałęsa od granicy. Wchodzę do N., stół zawalony papierami, dzwonią jednocześnie dwa telefony, żadnego nie przyjmuję, patrzy sztywno przed siebie, zmiata z biurka papiery: „Nie wejść! Nie mogą tak ze mną postąpić! Obiecali, że stopniowo się wycofają. Kolejarze zawsze rozświecali ponure wieści”. Krząta opinie przepowiadające, że rewolucja ma zaledwie kilka godzin przed sobą, krząta wiadomości z pism zagranicznych przypisujące rewolucji znaczenie ogólnoswiatowe. Potargani powstańcy w wiatrówkach i bekieszach, obwieszani pistoletami i wieńcami granatów, żądają od premiera, żebyśmy zaatakowali pospolitym ruszeniem wszystkie stacjonujące w kraju jednostki radzieckie. Jednocześnie trzeba z byłych więźniów zorganizować samobronę ludową, trzeba wszędzie rozdać broń. Im zaś potrzebne są mundury, siedziba dla organizacji, samochodów, drukarnia i pieniądze, wszystko natychmiast. Zjawiają się oficerowie sztabowi, dosyć już mają powstańców, nie chcą dłużej znosić buszowania tej hałaśliwej i bezcelnej mniejszości. Zaufane oddziały saperkie w tajemnicy podmianowały budynek kina, gdzie się mieści centrala powstańców. Wystarczy, żeby pan premier powiedział „tak” i lont się zapali. Premier odpowiada „nie” i wychodzi do wielkiej sali, gdzie tłoczą się setki delegatów i petentów. Opuściła go żałostna melancholia, zadowolony kręci się wśród tłumu, boję się, że któryś paradykujący z bronią powstaniec, nie mając mądregoś argumentu, strzeli do niego. Nie zaszkodziłoby obstawić starego kłosa godnymi zaufania, uzbrojonymi ludźmi. Szukam brata, zasnął na dywanie – małowmny szkielet, na zapadniętej twarzy bolesny grymas. Po jego czoło widzę, że przytłaczają go intrzygi grup partyzanckich, że przytłacza go historia. Rewolucjonista chwytą ręką powietrze, czy dotyka upiorów? Brata nie mogę się dobudzić. Z pistoletami w obu kieszeniach staję za plecami starego. Później mi mawiano, że to ja stałem za jego oświadczeniem wypowiedzianym w ostrym tonie. Stary oznajmia, że poprosił do siebie ambasadora radzieckiego, ten jednak nieuprzejmie każe na siebie czekać, od dwóch dni się nie zjawia, tymczasem do kraju wkraczają nowe wojska radzieckie. Wobec tego zawiadamia, że nie będzie dłużej czekał i podaje do wiadomości kraju i świata, że wypowiada zawarty z nimi sojusz wojskowy, chcemy być neutralni i wzywamy ich do opuszczenia kraju. Powstańcy wiatują, obawiam się, że to oświadczenie robi na nich większe wrażenie niż na Rosjanach. Korespondenci z mikrofonami roją się wokół niego, powtarza swoje samobójcze oświadczenie; widzę, jak po czerwonym plusowym dywanie przechodzi do pamiętnego klubu historyczny meżowy meż stanu, na głowie zamiast kapelusza ma dziecinna glorie. W sali prasowej dwa tuziny dziennikarzy formułują patetyczną doniosłość tego wydarzenia, suchsze wypowiedzi zostaną odepchnięte od maszyn do pisania przez bardziej soczyste teksty, rację ma ten, kto jest bardziej elokwentny. Dawni urzędnicy partyni ostentacyjnie plawią się w gorące rewolucyjnie. Drzwi mego pokoju zamknięte są od wewnątrz, dolatują zza nich namiętne popiskiwanie i głos mego brata. Rewolucja to niegorsza rajfurka, dziewczyny i chłopcy wyżywają się na prawo i na lewo. Kiedy nadeszła potem wiadomość o nowej interwencji radzieckiej i decyzja starego, że on i jego zwolennicy poproszą o azyl w ambasadzie jugosłowiańskiej, alarmujący telefon zastał większość z nas w obcym łóżku, przy obcym cieple. Gabinet zajęty łamaniem wiary małżeńskiej nie był zdolny do czynu, gdyż jego członkowie, kiedy oprzytomnieli, bardziej balali się własnych żon niż Rosjan.

Trzeba jednak, by ktoś doręczył ambasadorowi radzieckiemu notę, która prosi największą armię świata, żeby dobrowolnie się usunęła. Nikt nie ma ochoty udać się do ambasady, każdy ma coś pilniejszego do załatwienia i może dlatego, że umiem po rosyjsku, albo dlatego, że inni zręcznie potrafili się wykreślić, wybór – jak walący się mur – pada na mnie. Skoro już w tym jestem, to pójdę do końca, doprowadzę dramat do punktu kulminacyjnego: do teckich wkładam bezczelną i prawdziwą wyzywającą i jedynie rozumną notę. Chwilą milczenia przygotowuję się do najcięższego, symbolicznego punktu oskarżenia w moim przyszłym procesie. Brat kręci się koło mnie, to się źle skończy, czas najwyższy wiać, rozsądny rząd rewolucyjny niech zaplanuje, dokąd się ulotnić, gdy zjawia się przezwajające siły. Małym dunajskim stateczkiem ruszamy spod parlamentu prosto do Wiednia i tam zmontujemy rząd emigracyjny; albo ukryjemy się i prowadzimy walkę partyzancką dla odizolowania okupanta i przeciwo kolaborantom. Żaden z tych projektów nie spotyka się z szerszym uznaniem, choć czynu mego brata nie znajduje ujścia. We mnie, kiedy wyruszą do ambasady, nie ma nawet śladu chęci czynu. Siedzę w przedzie w wielkim rządowym samochodzie, z obu stron rządowe flagi, dokoła żołnierze na motocyklach. Włożyłem czarny garnitur, choć niepodobny sprawie; to sobie jeszcze przed arystowaniem. Wiem, że to moje ostatnie wystąpienie polityczne, mój następny występ publiczny to rozprawa sądowa. Jeżeli tak, to zróbmy to przepisowo, jakby minister niezależnego rządu wręczył notę ambasadorowi innego państwa, a nie jakby mały urzędnik rozbitego namiestnictwa stawał przed namiestnikiem. To wręczenie noty nie ma żadnego znaczenia poza tym, że się odbywa: jagnie uroczystość oświadcza wilkowi, że w myśl prawa nie wolno go zjeść. Pracownicy ambasady są jeszcze bardziej zdenerwowani niż my, bo zebrali się wielki tłum, a ich broni nie ma na straż. W willi byłego fabrykanta, przez wyłożoną boazerią klatkę schodową idę odmierzonymi krokami na górę, mam wrażenie, że tak jest dostojnie. W sali przyjęć zapach rodków czyszczących i płynu do dywanów, zapach zaniepokojonych ludzi, zamknięte okna, zimne piecy, uroczysty brak informacji. Oni też nie wiedzą jak powinni się zachować, na razie są pod ochroną naszych żołnierzy. Po lewej i prawej ręce ambasadora stoją sekretarze, są za biurkiem, nie podajemy sobie rąk. Mam zaszczyt wręczyć mu notę rządu węgierskiego, której treść podaję w skrócie do wiadomości. Ambasador oznajmia, że nie przyjmuje noty. Jeżeli nie chce przyjąć, nie ma zmartwienia, zostawiam ją na stole. Ambasador czerwienienie, mniejsza o to, co jest napisane, ale że naruszam zwyczaj dyplomatyczny, to niewybaczalne. Tego tylko chciałem, nie mam tu już nic do roboty, patrzmy na siebie. On i jutro będzie ambasadorem, ja nie wiem, czy będę, walczącą ariergardą czy uchodząc politycznym? Proszę rząd reprezentowany przez ambasadora o jak najszybszą odpowiedź na notę mego rządu i odwracam się na pięcie. W dawnych mieszczańskich apartamentach czułem taki bezdomny zapach środków czyszczących po wielkich porządkach jesiennych. Urzędnicy o ponurych twarzach wyglądają spoza debowych drzwi, którzy ozdobne miedziane klamki znajdują się na wysokości głowy. Nie wietrzy się tu, wszystkie okna mają spuszczone żaluzje. Dokoła samochodu o rozmiarach sali warszaw motocykle rojących oficerów w białych rękawiczkach, pędzimy w kierunku gmachu rad ministrów. Opuuszczam szybę, gaciarze wykrzykują wiadomości dodatku nadzwyczajnego o nocie rządowej i o tym, że ja ja wręczyłem. Nie odpadam, nie mam ochoty wiać, przecież razem z tymi przechodniami pokazałymi, czego chcemy. Może przeminie generacja albo i kilka, zanim na tej ulicy gaciarze znowu będą wykrzykiwać takie tytuły. Tę godzinę, za którą będę pokutował, ogłaszam za jedno ze świąt mego życia. (...)

Przełożył z węgierskiego Alek Zoltan

Gyorgi Konrad

„Panowie polscy najwięcej winni Polsce (...). Panowie i w dobrych Ojczyznach czasach i w największych tej Ojczyzny nieszczęściach zawsze z Rzeczypospolitej swoje zyski ciągnęli. Niechaj tylko każdy z nich wniósł w ten majątek, który zebrał (...). Znajdźcie tam donacje, gratyfikacje (...). Wytaście sukcesy (...). kilkunastu starostw etc. etc. Od lat panowie wszystko mają w kraju, a żaden z nich nic dobrego nie uczynił krajowi.

Powiem kto mojej Ojczyźnie szkodził. Z samych Panów zguba Polaków. Oni zniszczyli wszystkie uszanowanie dla prawa (...). Oni prawo zamienili w formalność czczą, która wtemczas ważną była, kiedy prawo ich dumie, łaskomstwu i żłosci służyło. Kto uczył obywatela zdrady, podstępów, podłości, gwałtów? (...) Panowie (...). Kto wojska obce do kraju wprowadził? Panowie (...). Kto przy rozbiórce Kraju brał zagraniczne pensje? Panowie (...).

Rozpustni, lekkomyślni, chciwi i marnotrawni, dumni i podli (...). Na wszystkie namiętności wyuzdani Panowie byli w Polsce (...), aby tylko dogodzić swojej pysze, aby się tylko zemścić, gotowi byli siebie i Rzeczypospolitą zgubić (...).

Stanisław Staszic napisał te słowa w 1790 roku. W dwa lata później zawiązała się Konfederacja Targowicka.

Dobitnie z pogardą pisał Staszic o ówczesnej „przodującej sile narodu”, o magnatach i wyzyskiwaczach — interesów których strzegło państwo. Staszic nie potępia stanu szlacheckiego jako całości, swoje gorzkie słowa odnosi do jego reprezentantów, tych najbogatszych, a zarazem najbardziej wpływowych. Mówi zatem o elicie władzy.

Kto obecnie stanowi elitę władzy i w jaki sposób się ją tworzy?

Za czasów Staszica sprawa była łatwa: były herby, tytuły i co najważniejsze — dobra, które kwalifikowały kandydata do urzędu. W warunkach demokracji socjalistycznej — tych atrybutów oficjalnie zabrakło. Godności i plenipotence magnatów wieku XVIII przejęła dzisiaj partia proletariatu — PZPR. Jako partia typu leninowskiego składa się ona z dwóch kręgów:

- ścisłego grona zawodowych rewolucjonistów, stanowiących członków kierownictwa,
- szerokiej reszty organizacji partyjnych, do których należą mniej doświadczeni członkowie.

Tak problem ten sformułował Lenin w dziele „Co robić”.

Teraz to już zrobić można niewiele, ponieważ tej idei Lenina zadośćuczyniono w sposób literalny. Blokując zupełnie demokrację wewnątrzpartyjną stworzono zamknięty klan „zawodowych rewolucjonistów”, w którego skład wejść można, godząc się na zasady gry przyjmującego. A więc mafia ala Pologne, pełna lojalności, czy jak kto woli poddaństwa. Te zasady doboru ścisłego grona zaowocowały w „niemych sejmach” i jednogłośnie uchwałach instancji.

A skąd się wzięli ci pierwsi, na bazie których zbudowano bataliony kadrowe? Po drugiej wojnie światowej przyjechali z ZSRR z legitymacjami WKP(b), które zamienili na nowe legitymacje PPR. Było ich mało, więc zgodnie z naukami Lenina wykorzystali każdą możliwość „aby pozyskać sobie masowego sprzymierzeńca, niechby nawet chwilowego, chwiejnego, niestałego, niepewnego, względniego”. Sprzymierzeńcami stali się PPS-owcy, SL-owcy, potem nawet PSL-owcy. Pozory demokracji trwały niezmiennie krótko: PPR szybko połączyła PPS, tworząc „wspólną partię”. Ludowcy po spełnieniu swej roli, tj. uwiarygodnieniu PPR-u wśród chłopów i na arenie międzynarodowej, zostali przepędzeni i oskarżeni. Sformułowana za Bugiem ekipa po uzupełnieniach kadrowych stworzyła już wtedy trwały wzorec montowania elity władzy.

Zreasumujemy więc — nie partia, nie jej reprezentanci, lecz dobrani na zasadach tworzenia Komitetu Olimpijskiego funkcjonariusze, tworzą elitę władzy.

Panują nam. Jacy są nasi PANOWIE? Czy różnią się znacznie — od wyładowczych tych ziem sprzed 200 lat? Są najwięcej winni Polsce czy może Polska im najwięcej zawdzięcza? Spróbujmy zbliżyć dawno napisane słowa do nowych czasów i czynów:

1. „zyski ciągnęli” — pobory nawet 252 tys. zł miesięcznie, upodobanie do paryskich krawców i manicurzystek (przy poborach nauczyciela 4 tys. zł); — za pożyczki, w zastaw których dawali polski węgiel, kupowali takie licencje, na których ościsłe najwięcej zarabiali, 1 mln ton węgla okupowany jest śmiercią jednego człowieka.
2. „majątki zebrali” — z pochodzenia nieburzące, a po paru latach urzędowania: — willa, dach, luksusowy samochód, teren łowiecki, bażanciarńia, hodowla lisów czy bogactwa schlebające bardziej wyuzdanym gustom — stajnie: samochodów wyścigowych, dorodnych kolorowych amazońskich i koni arabskich.

Żaden z nich nic dobrego nie uczynił krajowi — smutne to, bo za takie zaszczyty wypadałoby coś dla kraju zrobić. Oni jednak zastęgi mają już w momencie objęcia urzędu. Nomenklatura zapewnia im nienaruszalność. Przyznając sobie serię orderów od „kawalera” po „budowniczego”, wachlowani i adorowani myślą o tym, żeby pozostawić po sobie pomnik, a nie żeby uczynić coś pożytecznego. Fakt, że „ONI” tam się znaleźli jest sam w sobie „wysoce pożyteczny”. Stawiają więc pomniki: Bierut — Nową Hutę, Gomułka — ciemne kuchnie i wspólne łazienki, Gierek — wielką piytę,

Hutę Katowice, małego Fiata i Berlieta.

Gierek pomników zbudował sobie zdecydowanie więcej od poprzedników, robił bowiem wrażenie najambitniejszego. Każdy z namiestników też stawiał pomnik proporcjonalny do wielkości administrowanego odcinka. Ministerstwo kultury — wyszło zabytkom na odsiecz: Panoramie Racławickiej, szlacheckim dworcom i pałacom, książkę polskiej. Ministerstwo oświaty — zbiorcze szkoły gimnazjalne z programem i miliony maluchów zbrzącających na poboczach o podwiezieniu, jak również: Teoretycznie Osobowe Przyczepy Ciągnikowe Do Dowożenia Dzieci w Celu Nauczania. No i zapomnieliśmy... 1000 Szkół na Tysiąclecie. Ministerstwo rolnictwa — chociaż nie przekonało trzody chlewnej o wyższości gospodarki socjalistycznej nad indywidualną, to zdecydowanie zwiększyło areał gruntów sektora uspołecznionego. W muzeum osiągnięć przestępcą się w pomysłach PGR-y i RSP-y, nieco w tyle są SKR-y. Niewątpliwym dowodem prężności tego Ministerstwa jest ogromna popularność jego produktów. Popularność jest tak wielka, że Ministerstwo na konto swoich sukcesów zapisało kartki na: masło, cukier i zęberka... Sport — tam same medale, łączność — z zasady w społeczeństwie jednomyślnym niekonieczna — ma już telefony, brakuje jej tylko łącz i central. Do niewątpliwych sukcesów w skali światowej należy zapisanie do jednej rozmowy trzech aparatów, a do rozmów potocznych — włączanie na jedną linię pięciu rozmów naraz. Sprzyja to wymianie informacji, a przez to ujednoliceniu stanowisk. Ministerstwa przemysłowe — w zasadzie tworzą pomniki kultury materialnej w technologii wielkoseryjnej. Kłopot tylko z przemysłem stoczniowym — bo tam co zbudują to odpłynię. O leśnictwie, handlu, rybołówstwie, turystyce, komunikacji itd. mówić nie będę, bo powstałby z tego tekst... „szkalujący wszelkie osiągnięcia narodu w całym 36-leciu”.

„Oni zniszczyli wszystkie uszanowania dla prawa”. Na straży poszanowania prawa winny stać niezawisłe sądy. Sądy PRL jak zawiasty w okresie kultu jednostki, tak wiszą. Sądownictwo nie stoi na stanowisku obrony racji klasy rządzącej i jej partii tzn. robotników — broni racji PANÓW. Podobnie, lecz już zupełnie jawnie, na straży racji PANÓW stoi Prokuratura.

Test na praworządność z ostatniej chwili: Czy klasa robotnicza jest przeciwna zarejestrowaniu „Solidarności Chłopskiej”? Odpowiedź: tak, nie. A może chłopci tego nie chcą? A może nie chcą tego szeregowi członkowie Partii? Może to tylko prawnicy sądzą, że sprawdzona organizacja chłopska jaką są Kółka Rolnicze jest dla chłopów najodpowiedniejsza?

Wynik remisowy = PANOWIE mają rację, „Solidarność” robotnicza strajkuje, gardłuje, wiesza transparenty, flagi narodowe — jednomyślnie popiera „Solidarność Chłopską”. Chłopi — wiecują, strajkują, głodują, pertraktują i są jednomyślni! Kler i intelektualści składają oświadczenia o poparciu. Organizacje partyjne zakładają prace wysyłają rezolucje i listy otwarte. Kto więc nie godzi się na powstanie Związku, który ani Konstytucji, ani sojuszmowi nie zagraża? PANOWIE. Łatwo jest im operować sloganem „sojusz robotniczo-chłopski”, trudno jest zgodzić się na zamianę sloganu w fakt. Tym bardziej, że PANOWIE znaleźli się poza sojuszem. Tego nie zniosą, więc nie zezwolą... podpisze to za nich SĄD — chociaż cały naród będzie wiedział, że to SAMOSĄD.

„Kto obce wojska do kraju sprowadził?” — nie wiem, ale za to wiem: kogo obce wojska do kraju wprowadziły!

„Kto przy rozbiórce kraju brał zagraniczne pensje?” — tego też nie wiem, ponieważ podreżnik historii najnowszej są w opracowaniu, myślę więc, że się nie bawem dowiem.

„Rozpustni” — tzn. dobra rozrywka za duże pieniądze — najlepiej Monte Carlo, a jeżeli w KDL to w odizolowanych obiektach (pilnowanych przez wojska MSW), ucharakteryzowanych na Miami lub Las Vegas. Rozpusta PANÓW to ciekawy materiał poznawczy, gdyby tak któryś z nich zupełnie anonimowo uchylił rąbką tajemnicy w jaki sposób M.Sz. organizował wieczory przy świecach, czy też jak wyglądały rewanże... Może maluczkim wydaje się tylko, że Wielcy są rozpustni, a kiedy — bliżej się temu przyjrzy — przyjmą te wzorce i zaczną naśladować.

„Lekkomyślni” — nosicielem tego sarmackiego wyróżnika jest do niedawna następca tronu — wybitny kierownik rajdowy, świetny menadżer — zawsze dyrektor — Andrzej Jaroszewicz.

„Chciwi” — przedmiotem ich chciwości są zarówno pieniądze (nie mają z tym problemu, bo tak sobie ustalają pensje, że im wystarczy), dobra materialne i zaszczyty. Chciwość na zaszczyty to głównie — medalomania i tytułomania. Z tytułomanią łączy się epidemiczny pęd do nauki. W Komitetach Wojewódzkich wszyscy studiują i kończą. Robią doktoraty, habilitacje, a nawet otrzymują profesury. PANOWIE uznali że kolekcje wszystkich splendorów, jakich doświadczali, tytuły naukowe umiemy w kłame, obok której można dopisać kursywą: z a s t u ż o n e, w a ż n e i z w e r y f i k o w a n e, niniejszym tytułem.

„Marnotrawni” — Ło nie dość, że tracą to, co naród cały wypracuje, to jeszcze pożyczają na własne konta — obciążając nasze.

„Dumni” — czy słyszeliście w jakim tonie PANOWIE rozmawiają z podwładnymi?

„Absolutyzm i podłość” — publikatory zmieniały na „arogancję władzy”. Nie dotyczy to oczywiście tylko ostatniej dekady, ale całego 36-lecia. Stosunkowo

łatwo jest zrozumieć arogancję prostego robotnika, który został w okresie bezpośredniego powojennym powołany na wybranego reprezentanta zdecydowanej większości... Przeskoczenie tak dużego dystansu w hierarchii społecznej, przy braku kompetencji mogło spowodować takie oddziały. Ale teraz? Dlaczego w stosunku do kogo PANOWIE, często młodzi, dobrze ubrani, formalnie wykształceni i dożywieni — są „aroganczy”? Pisał o tym z niepokojem prof. Nowacki:

„Przez całe 35-lecie sporo jednostek ambitnych, o wysokich walorach intelektualnych, starannie wykształconych stało na oboku zasadniczego nurtu. Tworząc w ten sposób miejsce osłom o wątpliwych walorach intelektualnych i moralnych”. PANOWIE — to osoby „o wątpliwych walorach intelektualnych i moralnych”. Pogarda i podłość to odpowiedź za niezaakceptowanie ich niekompetencji, to reakcja za odrzucenie ich od nich plecami. To również PANOWIE, „Aby tylko swej pysze dogodzić, aby się tylko zemścić, gotowi byli Rzeczypospolitą zgubić”.

Jarosław Chołodecki
(„Solidarność Opolszczyzny” 9/81)



PROPOZYCJE

Ostatni z doborowej śmietanki w woj. katowickim — Zdzisław Grudziński na łamach „Trybuny Robotniczej” jest stawianych zarzutów oczyścić się. W kraju bida a winnych nima.

Z dnia na dzień coraz trudniejsze życie. Na półkach sklepowych jeszcze gdzieś ukazuje się ocet lub herbata, którą zasyłali nas Turcy za przegrana woj. Wiedniem. Okropnie młodzi. Tyle lat minęło a jeszcze zniecają się. Tylko Polacy potrafia wspominać omyślnie przebaczać. Nic więc dziwnego, że co parę lat pojawia się jakiś Edward „Odnowiciel” i burzy dorobek społeczeństwa. A Polak przebaczy, odbuduje i czeka na następnego „Odnowiciela”. I kręci się w kółko ta karuzela kłamstwa i obłudy przez 30 lat, aż przyjdzie chwila, że się wreszcie ukręci i tak upadniemy, że nikt i nic już nas nie zdźwigne. Dużo mówi się, obiecuje, a społeczeństwo czeka na jakiś gest ze strony Rządu, by wreszcie dobrać się do skóry kłice, która doprowadziła kraj do krawędzi nędzy. Czyżby sam Tyrański zrujnował kraj? Gwarantuję, że cały naród byłby w pełni usatysfakcjonowany, gdyby Rząd wszystkim twórcom kryzysu przydzielił na przykład rentę z miesięcznym wynagrodzeniem 2 tys. zł, nieszkanie spółdzielce (odpłatnie) i kartki żywnościowe do łapy.

Najrozsądniejszym jednak posunięciem byłoby zamienić im wille na mieszkanki typu M1 z kratami w oknach i wychodkiem w kacie. Lżej znosiłoby się te ciężkie dla każdego Polaka lata. Wyobrażam sobie jak na sprawiedliwość w Polsce bluznią przebywający w więzieniu za przywłaszczenie mienia państwowego w wysokości pięćdziesięciu czy stu tysięcy złotych. Toż to przecież nędźnica, a zarazem niewiniątka w porównaniu z naszymi „bohaterami” ostatnich 10-ciu lat. Zawsze wreszcie coś w narodzie. Jedni głodują bo nie mają innego wyjścia, inni zaś na znak protestu, a jeszcze inni szykują się do zjazdu PZPR. Gorzkie narady, wybory delegatów i burzliwe dyskusje. Radio i telewizja przesycone audycjami o przygotowaniach do Zjazdu, który podobno ma „być albo nie być” dla narodu polskiego.

Słuchając ognistych przemówień odnosi się wrażenie, że przywódcom partii głównie zależy na kierowniczej roli. Obym się mylił, ale w każdym wystąpieniu wyraźnie akcentuje się to przewodnictwo. Czyżby 36 lat kierowania nie wystarczyło? A co u licha będzie robił Rząd? Nie odbieramy chleba ministrom. Okręć, którym płynięmy obrał kurs na górę lodową. Dostęć więc walki o władzę, czas oddać ster we właściwe ręce. Jak zapobiec jego rozbiciu? O tym pomyślicie towarzysze.

Krzysztof BARCZYK — ZTS

„Wiele krwi rosyjskiej
wyciekło na polskiej ziemi
i dlatego my z Polską
rozstać się nie możemy.”
— powiedział Gromyko
i ileż ta mowa
przynosi wspomnień, i ile
jest prawdy w tych słowach...

Pamiętam kiedy przyszedł
w ognia nawałnicy,
ogrzani w lipcowym słońcu,
Sojusznicy!
Pod ścianami leżały
trupy padłych żołnierzy
przykryte peleryną
mokrą od krwi świeżej,
a inni szli umęczeni
w rytmie pieśni upartej

w rytmie upartej pieśni
co ciągnęła się w skwarze
długo jeszcze jak przeszli...
„... da-a-ai-ni-ewostocznyje!
Smiełyje w boji!”
... inni padli na trawę,
znużeni, skryci pyłem,
a ja nosiłem im wodę
i konie ich karmiłem
i nie wiedziałem wtedy
o Siedemnastym Września,
ani o tamtym lesie
w Guberni Smoleńskiej...
... wiedziałem tylko, że kominy
wygasły na Majdanku
i nad trupami płaczą
na lubelskim Zamku...

Hej chłopcy!
Hej orły syberyjskie!
Ileż krwi waszej ciekło

Na Świętokrzyskiej? ...
Hej chłopcy!
Ilu z Was dziś by żyło...
... gdyby nie Wrzesień rozkopał
ziemię na Wasze mogiły? ...

Nie Wasza krew tu tylko.
Nie jesteście sami.
Wasi ojcowie, dziady
byli tu przed Wami:
Tuchaczewskij, Budionnyj,
Ghai i Timoszenko...
... do ataku szli chłopcy
pod dowódców ręką
i też w marszu śpiewali
odważne oddziały
... owe dni wspominać będziemy...
... a co z nich pozostało? ...

Hej chłopcy!
Hej stepowe sokoły!
Szlście Polskę wyzwolić
spod swawoli pańskiej
a rozbiły Was bosa
pułki podhalańskie,
i chłopcy Was po polach
z kosami ścigali
i kraj się cały zerwał
i najeżył stalą...
... a wstrzymały Was pułki
studenckie... robotnicze...
i krew po Was została
i wróciła się w niczym...
... śled krowami ścieleńsia
po siroji trawie...
e-e-ech! Po siroji trawie...

Hej chłopcy!
Hej druhy mołojcy!

Byli tu już przed Wami
inni Wasi bojcy:
... buntowniczych Polaków
szły poskromić sennie
dla Boga i dla Cara
ujarzmić sromotnie...
... a pod Stoczkiem,
... rękami czarnymi od ptuga...
śmierć ich doszła
i krew długą popłynęła strugą...
... i w Olszynie płynęła...
... i pod Ostrołęką...
Hej... krwi tyle, że niejednej
matce serce pękło.

Hej chłopcy!
Hej słowiańskie dusze!
Jakiż to los okrutny
wciąż Was do marszu zmusza?
Hej chłopcy!
Hej bracia Słowianie!
Kiedyż w naszej rodzinie
upływ krwi ustanie?

Twardy jesteście naród.
Twardzi wojownicy.
Ileż Waszych i naszych matek
groby dzieci liczy?
... ale czy historia naprawdę
nie Was nie poucza?
... czy nie rozumiecie tego,
że my też twarde dusze?
... że kiedy w krzemień
innym uderzyć krzemieniem
to iskry się rozprysną
i buchną płomieniem?!

Ech drużaj!
Szczęśliwa to rodzina

gdzie brat bratu pomaga...
ale straszliwie mści się
braterska zniewaga...
... krzywda jest zawsze młoda...
... krzywdy wiek nie zmienia...
... krzywdę czyni zmywają
a nie przemówieria...
... a wiedzieć,
że krzywda,
kiedy dokonana bliskim,
kiedy braciom zadana,
... tryska nienawiścią...

Hej chłopcy!
Hej chłopcy sąsiedzi!
Czy nie lepiej wpiwer spytać
czy nam wadzą miedze? ...
... wejść tu zawsze możecie
jeśli na to przyjdzie...
... ale ilu Was wejdzie...
... a ilu stąd wyjdzie?...
... ile żalu i bólu...
... ile zgłiszcz i mogił...
pozostanie na szlaku
braterskiej niezgody?

Hej chłopcy!
Kiedy czas nastanie,
że powiesicie wreszcie
swe szable na ścianie?
Kiedy wreszcie przyjdziecie
na spotkanie z nami
z pieśniami,
ale bez pęku kajdan
za plecami...?

Hej chłopcy...

24 lutego 81. Tadeusz Jarzembowski
(„Solidarność” — Lublin, 23/81)

Stanisława REYMANN — Kraków, pl. Sikorskiego 4 m. 6

25 maja 1981 r.

LIST GONCZY

za Lucjanem CZUBIŃSKIM — prokuratorem generalnym
PRL i Jerzym BAFIĄ — ministrem sprawiedliwości PRL
oskarżonymi o dokonywanie przestępnych działań na
szkodę polskiego wymiaru sprawiedliwości.

Z powodu dalszych nadużyć organów ścigania i wymiaru sprawiedliwości w trwającym 17-ty rok afera gangu Petrysa o s k a r ż a m generała Lucjana CZUBIŃSKIEGO, prokuratora generalnego PRL i prof. dr Jerzego BAFIĘ, ministra sprawiedliwości PRL o to, że osobiście lub przez podległe im organy albo osoby:

1. ochraniają przed odpowiedzialnością karną gang handlarzy i przemytników złota i walut kierowany przez obcokrajowca Tibora Petrysa i dopuszczają się różnego rodzaju machinacji mających na celu umożliwienie mu kontynuacji przestępczej działalności,
2. wykorzystywali organy prokuratury i sądownictwa do zorganizowanego szykanowania, prześladowania, ścigania i skazywania na kary sądowe osób, które przeciwstawiały się przestępczej działalności gangu Petrysa lub nadużyciom podległych im funkcjonariuszy na korzyść gangu popełnianym,
3. z zemsty za wystąpienia przeciw ich nadużyciom udzielają pomocy prowadzonej przez członków gangu kampanii znieważania byłego Przewodniczącego OK FJN byłego Prezesa PAN, byłego z-cy Przewodniczącego Rady Państwa i obecnego Przewodniczącego Komitetu Nagród Państwowych, prof. dr Janusza Groszkowskiego, w ten sposób, iż utrudniają lub uniemożliwiają osądzenie i ukaranie oszczerców za ten występ.

Ponieważ Tibor Petrys był cztery razy karany sądowo za przestępstwa pospolite i został wydalony z szeregow PZPR za kradzieże i oszustwa, nie istnieją żadne racje polityczne któreby uzasadniały poparcie, jakiego gangowi Petrysa udzielają oskarżeni tu promini. Kto wie o jakichkolwiek innych przestępstwach kryminalnych Jerzego Bafii i Lucjana Czubińskiego proszony jest o przesłanie udokumentowanych informacji listem wartościowym na adres: Komisja d/s praworządności NSZZ „Solidarność” region MAZOWSZE, Warszawa, ul. Mokotowska 16/20.

Informacje szczegółowe.

Od 17-tu lat grasuje w Polsce gang przemytników i handlarzy złotem i walutami kierowany przez obcokrajowca Tibora Petrysa, a ochraniający przez grupę wysokich funkcjonariuszy wymiaru sprawiedliwości. Główną specjalnością szefa gangu były przestępstwa związane z przerzutem przez granice Polski złota, dewiz i towarów, jednakże dla lepszego kamuflowania tych operacji działał on także jako aktywista PZPR i pracownik naukowy Politechniki Krakowskiej, który dla wzmocnienia swej pozycji przywłaszczył sobie wyniki zespołowej pracy naukowej i podjął próbę wyłudzenia stopnia docenta habilitowanego.

O skali interesów gangu i dochodach jego szefa świadczą nie tylko luksusowe wille, zagraniczne samochody, mieszkanka własnościowo kupowane za dewizy, wakacje spędzane na Wypach Kanaryjskich czy konto bankowe i mieszkanie w Wiedniu, ale jeden przychwycony przez polską służbę celną transport 13,5 kg złotych monet wartości 30-tu milionów złotych lub drugi, 900 kg srebra wartości 70-ciu milionów złotych, o którego przewiezieniu przez granicę zeznano w procesie krakowskim. Nie trudno sobie wyobrazić, ile takich transportów przeszło przez granicę Polski w ciągu 17-tu lat działalności gangu i jakimi środkami na pozyskiwanie sojuszników on dysponuje.

Z gangiem Petrysa są związani między innymi: rodzina PYKÓW będąca właścicielem koncernu trzech wytwórni chemicznych na Śląsku, zlikwidowanych po wyjściu na jaw afery przemysłowej Petrysa w roku 1970, doc. dr Stanisław STARUCH — były I Sekretarz KU PZPR na Politechnice Krakowskiej i członek KW Partii w Krakowie, wydany ostatnio z jej szeregow po przypisaniu go na próbę przemytu srebra, burzyny i futer do centrali gangu w Wiedniu oraz Andrzej JAROSZEWICZ, autor „pracy dyplomowej” wykonanej u doc. Starucha i „absolwent” Wydziału Mechanicznego Politechniki Krakowskiej, którego pakowny samochód miał też interesującą zaletę, że nie był kontrolowany przy przekraczaniu granicy. Lista udokumentowanych przestępstw Petrysa obejmuje kilkadziesiąt pozycji. Zostały one ostatnio opisa-



ne przez red. Henryka Nakielskiego w Przeglądzie Technicznym nr 50/80, 51/80, 1-4/81 i 13/81 w serii artykułów zatytułowanych: „W intencji obrony praw mego kraju”. Tibor Petrys przemyczał złoto, dewizy, kradł pieniądze, nakłaniał współników do składania fałszywych zeznań i sam składał takie zeznania, podrabiał cudze podpisy i wyłudzał pieniądze na podstawie upoważnień ze sfalszowanymi przez siebie podpisami, wyłudzał fałszywe opinie i posługiwał się nimi, ukradł co najmniej dwie prace naukowe i usiłował wyłudzić stopień docenta oraz nagminnie łżył i zniesławiał różne osoby i instytucje, które usiłowały przeciwstawić się jego przestępstwom.

W roku 1970 minister nauki unieważnił tytuł docenta wyłudzony przez Petrysa na podstawie ukradzionej pracy naukowej, w roku 1972 został on skazany przez Sąd Powiatowy w Bielsku za przemyt i oszustwa podatkowe, w roku 1973 wydany z Partii za kradzieże i oszustwa — w roku 1975 doc. Hankus udowodniła mu sądowo kradzież pracy naukowej i wyłudzenie stopnia docenta, a w roku 1976 Sąd Wojewódzki w Warszawie skazał go — za posłużenie się fałszywą opinią i za znieważenie Rady Państwa na karę 1-go roku więzienia. Wreszcie dnia 18 listopada 1980 r. Sąd Rejonowy w Krakowie — Krowodrzy, w sprawie dotyczącej wewnątrzgangowych porachunków, skazał Petrysa za namawianie do porwania Mieczysława Chwałki i do torturowania go celem wymuszenia informacji o miejscu ukrycia skradzionego innej osobie złota i dewiz wartości 12 milionów złotych — przyczyn porwanie to i torturowanie ponawiane istotnie nastąpiło — na karę 1,5 roku więzienia.

Sylwetkę moralną Petrysa podsumowuje wystąpienie Najwyższej Izby Kontroli wnioskujące wysiedlenie go z Polski jako uciążliwego cudzoziemca p a s o ż y t u j a c e g o na polskim społeczeństwie oraz treść aktu oskarżenia w sprawie o namawianie do porwania i tortur zarzucającego Petrysa — cytuję: „próbę reimplantacji w warunkach społeczeństwa socjalistycznego fałszywych metod gangsterskich”. Oto portret Tibora Petrysa widziany w świetle faktów i dokumentów urzędowych. Oto w interesie jakiego opryska działają od 10-ciu lat prokurator generalny Lucjan Czubiński i minister sprawiedliwości Jerzy Bafia...

Kiedy uczciwa część pracowników wymiaru sprawiedliwości ścigała Petrysa i uszykiwała potępiające go wyroki i decyzje, inna grupa z Czubińskim i Bafią na czele robiła wszystko, aby gang mógł dalej prosperować.

Pierwsza grupa przestępstw Czubińskiego wiąże się z uporczywym, wieloletnim niedopuszczaniem obciążających gang Petrysa dowodów w sprawach prowadzonych przez prokuraturę. Dla przykładu podaję, że Czubiński lub jego podwładni przeciwstawiali się przeprowadzeniu obciążających Petrysa dowodów w procesach o znieważenie Rady Państwa, o oszustwa podatkowe, o posłużenie się fałszywą opinią, o rehabilitację doc. Hankusa i o ponowne znieważenie Rady Państwa w osobie (c.d. na str. 7)

(c.d. ze str. 6 LIST GOŃCZY)

prof. J. Groszkowskiego. Druga grupa przestępstw Czubińskiego, mająca na celu nie-dopuszczenie do likwidacji gangu polegała na niewnoszeniu aktów oskarżenia przeciw Petrysowi i jego współnikom o przestępstwa, o których popełnieniu dowiedział się z urzędu lub został powiadomiony przez przeciwników gangu.

I tak Czubiński nie wniósł aktów oskarżenia przeciw Petrysowi o posłuszenie się fałszywymi opiniami w sprawie o oszustwa podatkowe i w Centralnym Laboratorium Przemysłu Obuwicznego oraz w Ośrodku Tworzyw Sztucznych, gdzie Petrys zdołał — dzięki tym opiniom — wyłudzić nominację na wysokie stanowiska. Czubiński nie wytoczył Petrysowi spraw karnych za podrabianie cudzych podpisów i za wyłudzenie pieniędzy na podstawie upoważnień ze sfalszowanymi przezeń podpisami, a także spraw o przedłożenie w dwu kolejno go zatrudniających instytucjach fałszywych życiorysów i fałszywych ankiet personalnych, ukrywających wydalenie z Partii i skazujące go wyroki. Czubiński wreszcie nie tylko umorzył Petrysowi sprawę karną o przemyt 13,5 kg złotych monet, nie tylko nie kazał skonfiskować samochodu w którym były smuglowane, ale miał czelność zwrócić Petrysom przemycane złoto w całości. Czubiński nie wytoczył sprawy szefowi Generalnego Rejestru Skazanych Ministerstwa Sprawiedliwości, który wydał Petrysowi fałszywe zaświadczenie o tym, jakoby nie był on sądownie karany. Czubiński umorzył sprawę karną Katarzyny Petrys o wyłudzenie z banku stu kilkudziesięciu tysięcy złotych na podstawie upoważnienia ze sfalszowanym przez nią podpisem, polecając jej wpłacić — tytułem pokuty — 200 zł — na odbudowę Zamku Królewskiego w Warszawie. Czubiński nie wytoczył sprawy karnej rektorowi Politechniki Krakowskiej, Muszyńskiemu, o wystawienie Petrysowi dwu fałszywych opinii. Czubiński nie wytoczył sprawy karnej dwu profesorom Politechniki Krakowskiej którym udowodniono u k r a d z e n i e obciążających Petrysa dokumentów z akt sprawy dotyczącej przywłaszczenia przezeń zespołowej pracy naukowej i wyłudzenie stopnia docenta.

Czubiński i jego podwładni, uniemożliwili również postawienie Petrysa w stan oskarżenia za zniesławienie i obrażenie ministra nauki prof. dr Sylwestra Kaliskiego, oficera MO Jerzego Kłóski i kierownika katowickiego oddziału Inspektoratu Kontrolno-Rewizyjnego Jerzego Pytlika, którzy wykonując swe obowiązki służbowe wystąpili przeciw Petrysowi lub brali udział w prowadzonych przeciw niemu śledztwach i zostali za to obrzuceni obelgami przez Petrysa.

Trzecia grupa przestępstw Czubińskiego wiąże się z przesładowaniem osoby, która p i e r w s z a w Polsce stawiała opór przestępstwom Petrysa i która zapłaciła na to 17-oma latami poniewierania jej przed sądami. Kiedy w roku 1965 doc dr hab. inż. Aleksandra Hankus, wtedy dziekan Wydziału Mat.-Fiz. Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Rzeszowie została skazana przez sąd powiatowy dla m. Krakowa na karę 11 miesięcy więzienia, za napisanie skargi protestującej przeciw ukradzeniu przez Petrysa zespołowej pracy naukowej i próbie wyłudzenia stopnia docenta, właśnie Czubiński był tym, który najgorliwiej przeciwstawiał się rehabilitacji skazanej. Czubiński wraz z Bafią, przez dwa lata o s z z k i w a l i Radę Państwa twierdząc, iż zrehabilitowanie doc. Hankus przez założenie drugiej rewizji nadzwyczajnej jest prawie nie-dopuszczalne, a gdy go do tego zmuszono, wystąpił o jej uniewinnienie z powodu dobrej wiary w prawdziwość, a nie samej prawdziwości podstawionych złodziejowi zarzutów oraz przeciwstawiał się stanowczo dopuszczeniu dowodów splagiowania pracy. Podkreślił należy, że Bafia z Czubińskim dopuszczali się tych nadużyć p o u n i e w a n i e n i u wyłudzonego tytułu przez władze naukowe z powodu ukradzenia pracy, po skazaniu go za przemyt i po wydaleniu z Partii, a więc z pełną świadomością, że działając na korzyść stwierdzonego przestępstwa i wbrew intencjom wyraźnych decyzji partyjnych.

Prof. dr Janusz Groszkowski dysponuje podpisanymi przez Bafię listami wywodzącymi, iż uniewinnienie doc. Hankusa — trybie drugiej rewizji nadzwyczajnej jest prawie niemożliwe. Ciekawe więc k t o p i s a ł „Komentarz do prawa karnego” autorstwą (?) Jerzego Bafii, w którym ten uczenie wywodzi, że przeciw temu samemu wyrokowi można zakładać tyle rewizji nadzwyczajnych, ile jest podstaw rewizyjnych w kodeksie postępowania karnego.

Doc. Hankus, dr Andrzej Reymann — jej mąż i nasza rodzina byliśmy z inspiracji Bafii i Czubińskiego w hajdacki sposób szykanowani i przesładowani. Wnoszono przeciw nam fałszywe akty oskarżenia o rzekome zniesławienie sędziów, nie dopuszczano dowodów winy gangu Petrysa, wożono na przesłuchania w okratowanych karetkach więziennych, pobierano odciski palców, inwigilowano, a nawet próbowano poddać dziekana polskiej wyższej uczelni i innych członków jej rodziny badaniom psychiatrycznym w zamkniętym zakładzie dla umysłowo chorych. Nadużyć tych Lucjan Czubiński i Jerzy Bafia dopuszczali się za pośrednictwem podległych im funkcjonariuszy i organów z z e m s t y za usiłowanie likwidacji gangu i za składanie skarg na nadużycia popierających go sędziów i prokuratorów.

Zabiegi Bafii i Czubińskiego odwekły rehabilitację doc. Hankus aż o 11 lat. Wreszcie wyrokiem z dnia 12 lipca 1975 r., Sąd Najwyższy uznał, iż doc. Hankus udowodniła Petrysowi kradzież pracy i wyłudzenie stopnia docenta i zrehabilitowała ją orzekając iż wystąpienie doc. Hankus przeciw Petrysowi stanowiło, cytując: „*obronę uzasadnionego interesu publicznego*”. Orzeczenie to stanowi moralną i prawną dykwalifikację oszukańczych machinacji Lucjana Czubińskiego i Jerzego Bafii popełnianych latami na szkodę osoby, która wystąpiła w obronie dobrego imienia nauki polskiej przeciwko kompromitującym ją oszustom.

Ostatnia grupa przestępstw generała Czubińskiego wiąże się z przesładowaniem jednego z najwybitniejszych i najzasłużeńszych polskich uczonych, prof. dr Janusza Groszkowskiego, byłego Przewodniczącego OK FJN, byłego Prezesa Polskiej Akademii Nauk, byłego z-cy Przewodniczącego Rady Państwa i obecnego Przewodniczącego Komitetu Nagród Państwowych. Kampania oszustwa jest prowadzona przez Petrysa i jego gang, ale wspierają ją nadużycia prokuratury i sądów, które albo udają, że jej nie widzą, albo uchylają się od ścigania sprawców, albo wreszcie ochraniają gangsterów w procesach wytoczonych przez prof. Groszkowskiego, zmuszonego do tego bezczynnością władz. Cała akcja stanowi odwet za trwające od 10-ciu lat wystąpienia prof. Groszkowskiego przeciw działalności gangu i niepraworządному postępowaniu organów wymiaru sprawiedliwości. Prof. Groszkowski bardzo naraził się władzom swymi interwencjami poselskimi na korzyść rehabilitacji doc. Hankus. Jeszcze bardziej naraził się im, gdy w marcu 1976 r., w przeddzień uchwalenia Konstytucji, w pro-

teście przeciw nadużyciom Bafii i Czubińskiego złożył mandat posła na Sejm z okręgu wyborczego nr 1 w Warszawie i funkcję z-cy Przewodniczącego Rady Państwa. W lutym 1980 r., z powodu nowych nadużyć sądownictwa i prokuratury popełnionych na korzyść gangu, zawiesił pełnienie funkcji Przewodniczącego Komitetu Nagród Państwowych. W dniu 30 września 1980 r., w jego słynnym wystąpieniu na Zgromadzeniu Ogólnym Polskiej Akademii Nauk zażądał przeprowadzenia weryfikacji pod względem etycznym i zawodowym tej części kadr naukowych, która dopuszczała się nadużyć lub nie posiada kwalifikacji, profesorowie zaś PYKA i BAFIA oraz doc. CZUBIŃSKI dobrze wiedzą, czym skończyłoby się sprawdzanie ich kwalifikacji etycznych. W lutym 1981 r. w wyniku listu skierowanego przez prof. Groszkowskiego do Wydziału Prawa Uniwersytetu Łódzkiego, docent Czubiński uznał za właściwe zwolnić się tam z pracy.

Prześadowania prof. Groszkowskiego trwały od 1974 roku. Kiedy w roku 1975 Petrys rozpowszechnił paszkwil zniesławiający prof. Groszkowskiego, a Rada Państwa kazała Czubińskiemu wnieść akt oskarżenia, przeciągał on postępowanie karne, nie dopuszczał obciążających Petrysa dowodów i pozwalał na dalsze obrażanie prof. Groszkowskiego w pismach i przed sądem, który nawet początkowo, skazał prof. Groszkowskiego na opłacenie kosztów procesu przestępstw, który go znieważał. Minister Bafia sekundował generałowi na terenie sądów, gdzie nie dopuszczał do cięższych przegranych gangu, osłaniając zarazem sędziów odpowiedzialnością za popełnianie nadużyć.

Po wyjściu Petrysa z więzienia, Katarzyna Petrys i Augustyn Wieczorek rozpoczęli w styczniu 1979 r. nową akcję zniesławiania prof. Groszkowskiego przy pomocy paszkwili, które Petrys zgłosił w sądzie jako ... dowód procesowy przeciw prof. Groszkowskiemu i opatrzył zniesławiającym komentarzem. Prof. Groszkowski odpowiedział zawieszeniem funkcji Przewodniczącego Komitetu Nagród Państwowych, co ówczesnego premiera skłoniło do wydania polecenia ponownego ścigania Petrysa, sabotowanego od 18-tu miesięcy przez Czubińskiego.

W międzyczasie do sądu w Krakowie wpłynął akt oskarżenia zarzucający Petrysowi namawianie do porwania i tortur, poczem zapadł wyrok skazujący. Inny członek gangu, Staruch, „wpadł” na próbie przemytu i został wydalony z Partii. Wszystko to zdawało się wróżyć bliski koniec gangu, a w konsekwencji przerwanie rzeki milionowych dochodów płynących do wiadomych kieszeni.

Tymczasem postanowieniem z dnia 10 stycznia 1981 r. Prokuratura Rejonowa Warszawa Śródmieście, umorzyła sprawę karną Tibora Petrysa oskarżonego o p o n o w n e znieważenie Rady Państwa PRL w osobie jej byłego wiceprzewodniczącego prof. Janusza Groszkowskiego, zrobiła to zaś na podstawie świadectwa lekarskiego stwierdzającego, iż w chwili pisania paszkwili Petrys cierpiał na „stany lękowe” i był zupełnie niepczytelnym. Świadectwo powyższe prokuratura uzyskała zatajając przed powołaną z jej inicjatywy komisją dowody doskonałego stanu zdrowia psychicznego Petrysa, a w szczególności fakt wieloletniego prowadzenia w Polsce działalności przestępczej, wielomilionowych dochodów jakie mu ona przyniosła i bezcelności i zachwytu z jakimi Petrys przestępstwa swe popełniał, a także dowody symulowania przezeń różnego rodzaju chorób w jego poprzednich sprawach karnych. Prokuratura zatała także, iż nigdy w ciągu 16 lat trwających kontaktów z Petrysem, nie miała żadnych wątpliwości co do stanu jego zdrowia psychicznego, a także, iż w innej, prowadzonej równolegle sprawie karnej zarzuciła i udowodniła cierpieniem rzekomo na stany lękowe przestępcę namawianie do porwania i tortur i uzyskała wyrok skazujący. Katarzyna Petrys i Augustyn Wieczorek nie zostali objęci śledztwem, gdyż najwidoczniej nie zdążyli im jeszcze wyrobić wariackich papierów.

Postanowieniem z dnia 30 stycznia 1981 r. Sąd Rejonowy dla m. st. Warszawy, umorzył sprawę karną Petrysa z oskarżenia prof. Groszkowskiego i obciążał go kosztami procesu przestępstwa, który go znieważał. Sprawa karna przeciw Augustynowi Wieczorkowi, oskarżonemu o rozesłanie w styczniu 1979 r. paszkwili została umorzona na podstawie aktu zgonu... Alfonsa Wieczorka, zmarłego w lutym 1978 r. tj. na rok przed popełnieniem przestępstwa. Sąd Wojewódzki w Warszawie umorzenie owe zatwierdził, poczem jakby w nagrodę, już po sądowym usmierzeniu go nieboszczyk Wieczorek nadesłał sądowi kolejne, beczelne pismo, znieważające w chamski sposób prof. Groszkowskiego. Postępowanie w stosunku do Katarzyny Petrys zostało zawieszone na podstawie świadectwa lekarskiego stwierdzającego, iż istnieje obawa, że mogłaby się zdenerwować występując przed sądem w charakterze oskarżonej o zniesławienie.

Przechodzę do wniosków końcowych. Opisane tu fakty są bezzwzględnie prawdziwe. Czubiński, Bafia i im podobni ponoszą odpowiedzialność za włokące się latami procesy, za setki rozpraw, za tysiące wymienianych pism, za zatrudnienie setek sędziów i prokuratorów i wydanie milionów złotych z kasy państwowej na ochranianie przestępców kryminalnych. Na stawiane im publicznie od lat w listach otwartych zarzuty nie odpowiadają, licząc widocznie, iż kampania chamskich obelg przeciw prof. Groszkowskiemu spowoduje kolejny zawal serca, podobny temu jaki uzyskali swymi beczelnymi oszustwami w roku 1975 w toku procesu rehabilitacyjnego doc. Hankus. Władze państwowe, Komitet Nagród Państwowych i Polska Akademia Nauk przypatrują się spokojnie samotnej walce prof. Groszkowskiego, kłopoty zaś wynikające ze s t r a k u prof. Groszkowskiego w Komitecie Nagród Państwowych planuje się załatwić przez rozwiązanie Komitetu na rok p r z e d u p y t e m k a d e n c j i. Ponieważ formalności tej dopełnić musi premier Jaruzelski, który zna przebieg afary, zapytuje sama siebie, czy odważy się zdymisjonować jeden z największych polskich autorytetów moralnych i naukowych tylko dlatego, że wystąpił przeciwko przestępstwom podległych premierowi organów.

Apeluję do podstawowych organizacji partyjnych PZPR i Komisji Zakładowych „Solidarności”, aby dopomogły samotnej walce prof. Groszkowskiego o praworządność i by wywiesiły kopie niniejszego listu gończego do publicznej wiadomości. Proszę też osoby, mogące się przyczynić do udowodnienia Lucjanowi Czubińskiemu i Jerzemu Bafii popełnienia innych przestępstw kryminalnych, aby przekazały NSZZ „Solidarność” udokumentowane informacje.

Przestępców na szkodę polskiego wymiaru sprawiedliwości trzeba karać!

/—/ Stanisława Reymann

wdowa po więźniu politycznym Oświęcim-Sterbeurkunde 841/41.

Wł. Barański

PARADA NIKCEMNIKÓW

Aleksander Bocheński napisał już „Dzieje głupoty w Polsce”, natomiast „Dzieje nikczemności” wciąż czekają na historyka. Póki co zbierzmy kilka przyczynków do rozdziału „Przodująca Siła wobec walk o Niepodległość”. W 1945 roku były afisze „AK — za-pluty karze reakcji”. W dniu 11 listopada (tak!) 1949 r. na III Plenum KC Bierut i głą (jak) najęty: „Kierownicze i średnie kadry organizacji reakcyjnych w okresie okupacji szeroko współdziałały z najeżdżącą w walce z ruchem narodowo-wyzwoleńczym, organizowanym przez PPR i GL”. Równocześnie inny patriota Piotr Jaroszewicz — do niedawna prezes ZBOWiD-u — pisał w przemowie do pewnej książeczki (H. Baczo — „Osiem dni na lewym brzegu”): „Plan powstania (warszawskiego) został uzgodniony z wywiadem hitlerowskim. Pertraktowali

z nim konkretnie w tej sprawie przedstawiciele Komendy Głównej AK, korzystając z kontaktu, który z Gestapo i wywiadem niemieckim utrzymywał Bór-Komorowski i jego otoczenie”.

A teraz skok przez 30-lecie. W 1980 r. — już po strajkach lipcowo-sierpniowych onże ZBOWiD — najbardziej chyba zdeprawowana organizacja w PRL — podejmuje uchwałę, żeby stosownym medalem odznaczyć kombatanów 1920 r. Ale nie wszystkich! Tylko szeregowców i podoficerów. Oficerowi medali nie dostaną. Zwycięstwo nad Krasną Armią nie może ująć płazem!

Że my tymi miedzianoczelnymi gardzimy? Ależ skąd! Na naszą pogardę trzeba zasłużyć!

(AS, 20/81)



WSZYSTKIE DZIECI SĄ NASZE

Rozumiejąc potrzeby materialne dzieci będących wychowankami Domów Dziecka, członek NSZZ „Solidarność” Wydziału T-65 Katy Katoń, kol. Józef MATYCH uzyskane wynagrodzenie, z tytułu zgłoszonych wniosków racjonalizatorskich, w wysokości 6.500 zł, postanowił przeznaczyć na potrzeby Domu Dziecka „Caritas” w Katowicach.

NSZZ „Solidarność”
Komisja Wydziału T-65

Wiemy już, że to nie rewolucja będzie tym najbliższym wydarzeniem, stanowiącym kolejną cesurę w historii PRL. Aby nie dopuścić do rewolucji, najprawdopodobniej w niebawm odległej przyszłości, może jeszcze przed wiosną 1980? (VIII Zjazd Partii) PZPR zdolna będzie sprowokować coś więcej niż rozruchy, doprowadzić do silnych wystąpień społecznych — bez względu na koszty, jakie to pociągnie za sobą.

Przypomnijmy: w październiku 1956 wieść na Politechnice Warszawskiej i wystąpienia robotników Żerania (które miały doprowadzić do VIII Plenum KC PZPR i powrotu Gomułki do władzy) — rozpoczęły się w dobre dwa tygodnie po tym, jak towarzysze „Wiesław” przedstawił na posiedzeniu Biura Politycznego cały program działań i porozdzielił zadania pomiędzy poszczególnych towarzyszy. Jeszcze do dzisiaj ludzie w Polsce nie wiedzą, że tzw. przełom październikowy dokonał się podczas tajnych rozmów między grupą Ochaba a Gomułką we wrześniu 1956. Masowe wystąpienia wyreżyserowano, choć nie brakowało w nich ani autentyczności, ani spontaniczności. Była to jednak spontaniczność pod kontrolą.

Nim w grudniu 1970 zawałiła się władza Gomułki, w kwietniu 1968 zebrały w warszawskiej Sali Kongresowej aktywny partyjny skądował „Wiesław — Gierek”. Gomułka kilka razy powtórzył wówczas: „nie będzie żadnych gier” — ale wystarczyło to tylko na dwa lata. Od lipca 1970 funkcjonariusze bezpieczeństwa kierowani byli systematycznie do pracy m.in. w Stoczni Gdańskiej. Tuż przed reformą cen, wskutek reorganizacji i zmiany norm, stoczniowcom znacznie ograniczono zarobki. Na posiedzeniu plenum KC PZPR Edward Gierek głosił za drastyczną podwyżką cen, według projektu, w którego przygotowaniu uczestniczył ówczesny wicepremier Piotr Jaroszewicz. Kilka dni później, gdy mimo krwawych wydarzeń w Gdańsku, Gomułka nadal nie chciał ustąpić ze stanowiska — do stoczniowców, którzy na radiowy apel wicepremiera Kociołka stawili się do pracy, wojsko i milicja otworzyły ogień z karabinów maszynowych. Doszło do masakry w Gdyni...

Przedtęczył później okazać się, że i Czerwiec 1976 miał swoje kulisy. Czyżby nikt w całym Biurze Politycznym nie przewidział silnej reakcji społecznej? Wiemy, że niektórzy przewidzieli. Opowiadają się o jakichś ocenach sytuacji, których z bliżej nieznanych powodów nie włączono do obrad Biura Politycznego. Pewne dane wskazują, że ewentualność odwołania podwyżek cen była przewidziana już z góry. Nie ma żadnej podstawy zakładać, że wszyscy członkowie Biura Politycznego byli naiwni i nie zdawali sobie sprawy z tego, co się może zdarzyć.

Dziwiemy się jeszcze, jak naprawdę było z tym Czerwcem. Ile też prawdy tkwiło w pogłoskach, że cała operacja służyła m.in. eliminacji Jaroszewicza. Ponieważ to się nie udało, cenę zapłacił Szydłak.

Nie chcę wcale twierdzić, że ruchy społeczne w Polsce są pozorowane. W połowie lat pięćdziesiątych, także na przełomie lat sześćdziesiątych wzbierało i wzbiera w Polsce wzbudzenie społeczne. Czy mogłoby ono prowadzić aż do stanów rewolucyjnych? Jedno jest pewne: znacznie wcześniej, nim bierny opór społeczny przekształcił się w czynną presję na tyle silną aby rzeczywiście zagroziła władzy PZPR — dochodziło do sprowokowanych eksplozji. Ten manewr powtarzany był parokrotnie. Wcześniejsza eksplozja wypala energię mas. Nowe kierownictwo i nowy program pozwalają partii te masy pozyskać.

Jakkolwiek zdecydowana większość Polaków przez całą 35-letnią historię PRL była i jest niechętna rządowi PZPR — to w październiku 1956 miliony Polaków szczerze opowiedziały się za Gomułką. Gierek nie uzyskał już takiego sukcesu, ale społeczny sukces pozyskał.

Mamy tu do czynienia z dwoma zjawiskami, którymi są: spontaniczne procesy, ogarniające masy — oraz prowokatorskie działania połączone ze zmasowaną manipulacją.

Polska przez minione trzydzieści pięć lat nie miała kierownictwa zdolnego pokierować narodem w walce z narzuconą, uzurpatorską władzą PZPR. Umożliwiło to partii postrzycie fali niezadowolenia społecznego wcześniej, nim dojrzała do rewolucji.

LIST PYTAŃ

List KC KPZR do KC PZPR jest listem pytań, które wymagają szybkiej odpowiedzi ze względu na swój dezinformacyjny charakter. Autorzy listu twierdzą, że jest on podyktowany zaniepokojeniem o „Polskę jako wolne i niepodległe państwo” i o „śmiertelne niebezpieczeństwo, jakie zawiści nad rewolucyjnymi zdobycami narodu polskiego”. Uzasadniają to oni następująco: utrata suwerenności stała się realna, gdyby Polska reszta z drogi socjalizmu. A grozi jej to, ponieważ: wrogowie socjalizmu (siły antysocjalistyczne) prowadzą walkę o władzę i zdobywają ją dzięki ugodowości partii; istnieje zstępny spisek wobec władzy ludowej skoncentrowany w ekstremistycznym skrzydle „Solidarności” — wciągnięto też do niego podstępnie robotników; również partia ustępuje wobec presji kontrowersyjnej wewnętrznej popieranej przez zagranicę, imperialistyczne ośrodki dywersji: wymagają się akcenty antyradykalne i antykomunistyczne, przeciwnik (kontrowersyjności, rewizjonizm, oportunizm, siły imperialistyczne, wrogowie socjalizmu) podporządkował sobie środki masowego przekazu, które stają się narzędziem rozkładu partii; wrogowie klasowi rozbijają państwo socjalistyczne przez szkolenie organów porządkowych i armii; partyjne „struktury poziome” są narzędziem rozbijania partii przez oportunistów i zagrażają likwidacją samej partii na Zjeździe itp., itd.

Taki opis zagrożeń nie odzwierciedla aktualnej rzeczywistości polskiej i wywołuje się ją mogło, że możemy spać spokojnie, gdyby nie pytania, jakie się niosą.

W 10-miesięcznej historii polskich przemian dążących do ratowania kraju, n i k t, żadna instytucja czy siła społeczna, ani rząd, ani Sejm, ani „Solidarność”, ani partia — nie sugerował nawet innego oblicza Polski niż socjalistyczne. Czyżby walka z wypaczeniami socjalizmu równała się pojęciu antysocjalizmu? Czyż zatem jest socjalizm — wypaczeniem socjalizmem z polskiej rzeczywistości przedsiębiorstw? Czy zatem społeczeństwo polskie opowiadające się za autentycznym socjalizmem nie zauważyłoby zagrożenia ze strony ewentualnych incydentalnych grup i nie obroniło się przed nim? Narzuca się proste pytanie: na podstawie jakich i czyich informacji KC KPZR wyciąga wnioski niezgodne z istniejącą sytuacją w Polsce? Kto i po co odważa się wprowadzać w błąd naszych sojuszników? Czyżby obowiązkiem — zgodnie z odpowiedzialnością za losy kraju — jest informowanie narodów sojuszników o rzeczywistych aspektach przemian w Polsce i działalności „Solidarności”, która do tych przemian doprowadziła, i która okazała się jedyną siłą zdolną je zainicjować i zagwarantować? Kto ma obowiązek wyjaśniania i prostowania fałszywych informacji? Od dłuższego czasu oficjalne publikacje w niektórych krajach obozu socjalistycznego dezinformują ich narody, obrażają Polaków i „Solidarność” — jakie to źródło informacji? Czyżby pewna grupa ludzi, wprowadzając w błąd naszych najbliższych sąsiadów, szukała tam gwarancji i racji bytu dla swoich partykularnych celów, zgodnie z zamierzeniem, bo „przedsolidarnościowym” stylem istnienia?

Czy nie ta sama ręka, która przekazuje oszczerce informacje, profanuje pomniki pamięci i będzie incydentalnym prowokaczem nadawać rozgłos oraz impetować te fakty np. „Solidarności” bądź wymagającym „siłom”, „Solidarność” od pierwszego dnia swojego istnienia mówiła głośno i jasno o co jej chodzi. W żadnej ze swoich spraw nie potrzebowała puszek farby do anonimowych akcji. Była silna i solidarna, jawna i odważna — podpisywała się pod swymi postulatami, oświadczeniami i hasłami. Od początku stała twarzą w twarz z rzeczywistością, nie stosowała chwytów zza węgła. Nie było to jej potrzebne, bo od początku mówiła głosem narodu. Czyż nie słychać co mówi, do kogo i dlaczego? Puszcza farby potrzebna jest komuś, kto nie ma za sobą społecznej siły i nie ma na kogo liczyć.

W sytuacji listu KC KPZR oraz wypowiedzi w prasie CSRS i NRD jest sprawą nadzwyczaj pilną przekazanie sojusznikom parlamentem p r a w d y o aktualnych sprawach i problemach Polski — zgodnie z propozycją, jaka padła podczas ostatniej debaty sejmowej. Jest to obowiązkiem władz naszego kraju, a i „Solidarność” ma moralne prawo do przekazania narodom z nami sąsiadującymi swoich racji i wiarygodnych informacji. Należy żywić nadzieję, że władze graniczące z nami narody i ich przywódcy nie będą zaniepokojeni.

Zagrożenie bytu suwerennego wiąże się w niepokojących sąsiadów z odstępstwem Polski od socjalizmu (nie odstąpiła i nie jest jej celem) — wtedy „... wyciągnęłyby się po nią żadne ręce imperialistów”, a granic Polski nikt by już nie zagwarantował. Wobec tego której granicy i kto nie będzie gwarantował wobec jakiego imperialisty? Kto zatem zagraża niepodległości bytowi narodu polskiego? „Ręce imperializmu” to ręce wszelkimi sposobami dążące do podporządkowania sobie innych krajów, ręce, gdzie narzędzie polityki zewnętrznej i wewnętrznej stanowi siła militarna.

Frakcje PZPR potrafiły wykorzystać spontaniczne procesy dla przechwycenia władzy, a wywołana energia społeczna stała się podstawą sukcesów, jakie przywódcy partii odnosił w początkowych okresach swego panowania.

Przypomnijmy jeszcze jedno: do eksplozji społecznych w październiku 1956, Grudniu 1970 i Czerwcu 1976 dochodziło w warunkach, gdy społeczeństwo było w zasadzie spokojne. Coś tam się działo, czegoś się spodziewano i obawiano — ale w całym kraju panował spokój i porządek. Przywódcy PZPR wiedzą doskonale, że łatwo jest sprowokować spowodować. Co będzie jednak, jeśli sprowokowany wybuch wydosytne się spod kontroli?

W październiku 1956 partia zachowała kontrolę nad rozwojem wydarzeń, aczkolwiek rozmiar i siła poruszenia społecznego były bez wątpienia dla przywódców PZPR zaskakujące.

W Grudniu 1970 wybuch robotniczy, który ogarnął miasta Wybrzeża, już — już wydostał się spod kontroli. Gdyby do Wybrzeża dołączyły załogi wielkich zakładów przemysłowych w centrum kraju — sytuacja dla PZPR stałaby się krytyczna.

W Czerwcu 1976 skala eksplozji natychmiast przekroczyła partyjne przypuszczenia. Strajk powszechny zaczął ogarniać wszystkie prawie regiony kraju. Groziło, że na Górnym Śląsku nocna zmiana nie przystąpi do pracy, staną huty i kopalnie węgla. W ostatniej chwili władze PRL zdążyły się cofnąć. O kilka godzin później, gdyby strajk ogarnął energetykę, być może Jaroszewicz nie mógłby wystąpić w telewizji. Te doświadczenia spędzają sen z powiek ludziom, którzy właśnie teraz opracowują plany kolejnego manewru politycznego. Znają oni dobrze dwa słabe punkty, dwie wielkie niewiadome — od których zależeć będzie wszystko.

Pierwsza niewiadoma — zdecydowanie mniej ważna, zarysowana jako potencjalna możliwość: PZPR obawia się, że jawnie zorganizowana opozycja demokratyczna być może już jest zdolna do wyłonienia ośrodka, który podjąłby się zadania pokierowania społeczeństwem w walce z władzą PRL. Jeśli tak, sytuacja kiedy społeczeństwo pozbawione było czynnika, który choćby tylko ostrzegał przed groźbą manipulacji partyjnej — już się nie powtórzy. A więc „zabieg” będzie znacznie trudniejszy do przeprowadzenia.

Druga niewiadoma, ta zasadnicza: Każda analiza sytuacji wewnętrznej PRL oraz uwarunkowań międzynarodowych wskazuje, że nowy manewr polityczny PZPR spotka się z nieporównanie większymi trudnościami niż poprzednie. Niepokój partyjnych manipulatorów budzi przede wszystkim obecna siła społeczeństwa polskiego. Grozi, że tym razem eksplozji nie uda się utrzymać w karchach. Niekontrolowany wybuch, jeśli nawet nie doprowadzi do upadku władzy PZPR, to zmusi ją do wielkich ustępstw.

Tak wygląda sytuacja z punktu widzenia PZPR. Jeśli jednak formuje się już sojusz kilku grup czy klik, które razem utworzą większość w kierownictwie PZPR i będą w stanie przeprowadzić manewr polityczny aby uchwycić pełnię władzy — to nie liczymy, że cofną się one od razu wobec groźby wyrwania się eksplozji spod kontroli. Postępować będą zupełnie inaczej. Zadbają o stworzenie warunków, w których sprowokowany wybuch społecznego gniewu nie będzie mógł wyrwać się spod ich kontroli. Jeśli więc obecnie tworzą się ośrodki opozycyjne, które zdolne są choćby częściowo pokierować społeczeństwem w walce z totalitarną władzą — to zadaniem nr 1 dla PZPR staje się przekonanie tych ośrodków, że powinny dopomóc w zachowaniu społecznego řadu.

„Oczywista w niebezpieczeństwie” — zaczęła wołać ci, którzy wyprzedają Polskę, licząc na siłę służalstwa wobec Związku Radzieckiego, którzy doprowadzili kraj do ruiny. To zawołanie zwrócone będzie do naiwnych, którzy — być może w najlepszych intencjach, być może nie — pośpią na pomoc kierownictwu PZPR, aby je uchronić przed gniewem Polaków.

Leszek MOCZULSKI!
(fragment „Rewolucji bez rewolucji”)

czerwiec 1979 r.

Celem imperialistów jest zazwyczaj podporządkowanie w stylu kolonialnym — daje ono imperialistom gwarancję panowania politycznego, ekonomicznego i strategicznego. Czyżby ręce się po nas wyciągały? Kto chce nas sobie podporządkować? Komu zależy na tym, aby proces demokratyzacji i odrodzenia moralnego został zahamowany? Komu jest potrzebne stałe zaciężenie społeczeństwa polskiego, dążenie do wytworzenia poczucia totalnego zagrożenia i dalej — paraliżującego ubezwłasnowolnienia myśli i inicjatywy jednostki? Czy stałe zagrożenie bliżej niesprecyzowaną możliwością utraty niepodległości, ciężki cieżący na nieokreślonym wrogu, służy zaufaniu komunikowi? I jeszcze jedno pytanie: jeżeli przemiany posierpniove były i są próbami koniecznych przemian skrajnie wynaturzonego ideologicznie i gospodarczo państwa, jeżeli są próbą ratowania narodu i budowania kraju na sprawiedliwości, a ktoś temu przeszkadza, to po której stronie mamy do czynienia z rewolucją, a po której z kontrowolucją, oportunistem i wrogością socjalizmowi?

Krystyna LASKOWICZ
(„Solidarność UAM” — Poznań 39/81)

„WOLNY ZWIĄZKOWIEC” — Biuletyn informacyjny NSZZ „SOLIDARNOSĆ” — HUTA KATOWICE
Skład redakcji: Hanna JANIAK, Zbigniew KUPIŚIEWICZ, Stanisław MARCZAK, Jacek CIEŚLICKI
Siedziba red.: Huta Katowice, budynek Gf, MECHANIKA przy BRAMIE GŁÓWNEJ
Adres dla korespondencji: Jacek Cieślak, skr. poczt. 185, 41-300 Dąbrowa Górnicza 1
Tel. 62-89-05, wewn. 89-08
Materiałów nie zamówionych nie zwracamy, załączamy sobie prawo skracania otrzymanych tekstów.
DO UŻYTKU WEWNĄTRZORGANIZACYJNEGO
Nakład 50 000 egz. Oddano do składu 23.06.81 godz. 7.30